

PRZEGLĄD WILEŃSKI.

TYGODNIK POLITYCZNY, SPOŁECZNY I LITERACKI.

KIEROWNIK PISMA LUDWIK ABRAMOWICZ.

CENA PRENUMERATY: w Wilnie		REDAKCJA i ADMINISTRACJA	CENY OGŁOSZEŃ;
Rocznie	7.00	Ś. Jerska 15 m. 26	Przed tekstem za wiersz petitu - - - 50 k.
Półrocznie	3.50	Otwarte codziennie prócz świąt od godziny 11 do 4 pp.	W tekście (nadesłane) - - - - - 1 rb.
Kwartalnie	1.75	Skrzynka pocztowa № 52	Po tekście - - - - - 20 k
Miesięcznie	60		Numer pojedynczy 15 kop.
Z przesyłką poczt. dostarcz. do domu			
Rocznie	8.-		
Półrocznie	4.00		
Kwartalnie	2.00		
Miesięcznie	70		

Czas odnowić prenumeratę na kwartał drugi.

Stanowisko krajowe a ideaja narodowa.

„Tylko polacy wymyślili jakieś stanowisko specjalnie krajowe, które im każe pracę swą na Litwie uzależniać od tych wszystkich, którzy od nich uzależnić się nie chcą i w każdym dążeniu ogólnonarodowym doszukiwać się, czy tam niema czasem czegoś przeciw krajowości“.

Z zarzutem powyższym występuje znana literatka p. Sawitri w ostatnim numerze „Tygodnika Polskiego“.

Zarzut ten cięższy, iż jest niesłuszny, a świadczący o niezrozumieniu warunków politycznych, w jakich społeczeństwo polskie na Litwie żyje.

Warunki te bowiem, nie jakaś fantazja, czy kaprys wytworzyły koncepcję „krajowości“ pojmuwaną jako dążenie do ujęcia w całość odrębną interesów Litwy historycznej.

Mylnem jest jednak mniemanie, jakoby zasada obywatelstwa krajowego stała w sprzeczności z idea ogólnonarodową. „Krajowość“ jako kategoria polityczna najnowszych czasów nie zdążyła jeszcze ustalić się w umysłach ludzkich, budzi zrozumiałą nieufność i interpretowana jest nieraz najdziwniej, przez publicystykę zaś warszawską i galicyjską niemal bez wyjątku wprost opacznie.

Do zaciemnienia tego pojęcia nie mało się przyczyniło wystąpienie znacznej grupy obszarników polskich z programem stronnictwa „krajowego“, będącym jaskrawym wyrazem tendencji ugodowych i braku wiarę we własne siły. Sztyld „krajowy“ był tu tylko parawanem do osłonięcia zupełnego odwrotu z dawnego tradycyjnego stanowiska.

„Krajowość“ w znaczeniu demokratycznym na-

tomiast powstała na tle uświadomienia przemiany warunków społeczno-politycznych na Litwie i Białej Rusi, w związku z coraz bardziej wyraźnie się zarysowującymi dążeniami ruchów narodowych litewskiego i białoruskiego oraz pewną ewolucją ustroju państwa Rosyjskiego.

Nie liczyć się z rzeczywistością, nie brać pod uwagę zmian, które zaszły w układzie stosunków krajowych—byłoby równoznacznym z rezygnacją społeczeństwa polskiego na Litwie z roli twórczego czynnika politycznego i skazaniem go na wegietację jałową.

Nie brak jeszcze fantastów i marzycieli, którzy, zapatrzeni w przeszłość, nie chcą widzieć zmian, które życie przyniosło i przynosi wciąż, i z uporem powtarzają swoje „non possumus“. Polityk jednak musi myśleć o przyszłości.

A przyszłość ta zarysowuje się wcale niewesoło. Przy rozwoju dalszym nastrojów panujących obecnie wśród młodych społeczeństw litewskiego i białoruskiego—przedział będzie się wciąż pogłębiał a społeczeństwo polskie, liczebnie o wiele słabsze i dzięki swemu rozproszeniu po całej przestrzeni kraju uzależnione w silnym stopniu od tendencji rozwojowych obcego środowiska, chociażby nawet kulturalnie niższego — zejdzie wreszcie na stanowisko żywiołu napływowego, zaledwie tolerowanego.

Pewność, że te nastroje niechętnie znikną z czasem same przez się, ustąpią miejsca życzliwości i sąsiedzkiej uprzejmości na niczem nie jest oparta. Wobec odosobniania się społeczeństwa polskiego, wobec wyraźnego zaznaczania odrębnej myśli politycznej polskiej, można przeciwnie się spodziewać, że antagonizm będzie wzrastał.

By nie być oderwanym od gruntu, by móc działać w warunkach realnych, należy ustalić pewną zasadę, któraby w teorii przynajmniej pozwoliła na wspólną pracę i koordynację wspólnych wysiłków. Taką zasadą jest właśnie „krajowość“, która godzi

rozbieżne aspiracje wszystkich rdzennych narodowości zamieszkujących teren Litwy i Białej Rusi.

Tylko nie wniknięcie w treść istotną tej zasady, tylko zła wola lub uprzedzenie mogą dopatrywać się w niej pierwiastków sprzecznych z interesem narodowym polskim, z ideją ogólnonarodową.

Przedewszystkiem zasada krajowości oraz idea narodowa nie są to wielkości spójne, nie mogą więc być sobie przeciwstawiane. „Krajowość“ nie jest ideją, lecz metodą postępowania, o tem należy pamiętać przedewszystkiem.

Litwa i Białoruś nie stanowią bowiem kraju o wyraźnych granicach, nie stanowią zamkniętej całości, odgradzonej szczerlnie geograficznie i historycznie od terenów sąsiednich, na wzór Szwajcarii lub Finlandji.

Wiążą je pewne wspólne cechy, wypływające z tradycji głównie i w wielu wypadkach będące już przeżytkiem. Organicznie jednak spojone nie są, dzięki różnoplemiennemu składowi ludnościowemu. Krajem odrębnym są one przeważnie w pojęciu społeczeństwa polskiego, które też stanowi główny cement, łączący tak odmienne terytoria jak Żmudź, Białoruś katolicka i wschodnio-południowe kresy prawosławne.

O idei więc krajowej mowy być nie może. Kto by w ten sposób ujmował zagadnienie „krajowości“ — ten popełnia błąd, oparty na złudzeniu i niedostatecznym zgłębieniu działających czynników. Nie wielu też liczy zwolenników ideja krajowa.

Natomiast stanowisko obywatelstwa krajowego, będące wyrazem uznania odrębności zadań polityki czynnej na ziemiach litewskich i ruskich, zyskuje coraz bardziej prawo obywatelstwa w świadomości ogółu i narzuca mu się siłą konieczności dziejowej.

Ideja narodowa jednak nic na tem nie traci, przeciwnie pozostaje tym samym drogowskazem, tą samą siłą odradzającą, pobudzającą do wysiłków twórczych.

Oczywiście o ile ideję narodową będziemy pojmowali w znaczeniu absolutnem, nie przemijającym, jako syntezę dążeń wszystkich warstw narodu, jego najgłębszych i najżywoźniejszych aspiracji.

By jednak ta ideja żyła w duszach ludzkich, nie

była tylko pustym dźwiękiem, frazesem od święta — powinna promieniować silnie, powinna zrzucić z siebie lachmany, w które stroić ją lubią rozmaici jej przygodni impresaria.

Z zanikaniem jej i wyradzaniem się na ziemiach polskich, ustaje wpływ jej jednocześnie na dzielnice sąsiednie. Prawo ciężenia zmusza masy drobniejsze do grawitacji ku mniejszym, indywidualności silniejsze panują nad słabszymi. Naród, ożywiony ideją twórczą, stanowi czynnik poważny, chociażby był pozabawiony możliwości oddziaływania za pomocą środków materialnych.

Spółczeństwo polskie na Litwie i Białej Rusi, skazane na ciężką walkę o byt, musi wzmacniać swe siły duchowe pokarmem, czerpanym ze źródeł kultury narodowej. Stamtąd muszą ku niemu iść powiewy zdrowe, odświeżające, wzmacniające organizm. Pod skutecznem działaniem idei narodowej będzie ustępowała pleśń, która dziś obficie narasta. Wówczas „krajowość“ nie będzie się przeradzać w ugodowość, w zaprzaństwo narodowe, w indyferentyzm polityczny.

W blaskach idei narodowej „krajowość“ stanie się tem, czem być powinna: metodą do utrwalenia wpływów kultury zachodniej, drogą do odzyskania przez społeczeństwo polskie tego stanowiska przodującego, jakie dziś ono traci po części skutkiem niezrozumienia swych zadań względem ludów, słabszych kulturalnie i duchowo.

Trzeba bowiem pamiętać, że pojęcie „krajowości“ powstało wówczas, gdy warunki polityczne pozwoliły społeczeństwu polskiemu na wzięcie czynnego udziału w realnej pracy nad rozwojem kraju. Zasada „krajowości“ została wysunięta równolegle do postulatu autonomji Królestwa Polskiego. Nie a priori, lecz z życia się zrodziła potrzeba koncepcji politycznej, któraby dawała wyraz dążnościom odśrodkowym ludności miejscowej, przystosowanym do realnych warunków bytu.

Zarówno jednak postulat autonomji Królestwa, jak również mniej ściśle sformułowane tendencje krajowe Litwy i Białej Rusi nie mogą rościć pretensji do roli czynników idejowych, chociaż bynajmniej nie obniżają przewodniej idei narodowej. Ta pozostaje

M. PAWLIKOWSKI.

2)

Romans Wacława Błockiego.

Nie widząc jej w ciągu paru tygodni, czuł, jak to pożądanie blednie i znika. Wiedział, że jeżeli zechce, potrafi je zupełnie zdusić w sobie. Ale czując, że go otaczają zwolna zimne ramiona wszechmocnej nudy, sycił w sobie nikły ogień skosławionego uczucia. Kochać już nie mógł, i tylko to mu zostało.

Na wyraźnem i jasnem tle rojeń zjawiała się chwilami smukła i groźna sylwetka Bojańskiego. Czuł wtedy dreszcz. Lecz nie był to dreszcz lęku. Był to dreszcz emocji, którą również kultywował w sobie, jako ucieczkę przed szarą marą znudzenia. Zresztą, gdzieś w najgłębszych i dla siebie samego niepojętych tajnikach istoty miał jakieś atawistyczne resztki donkiszoterji. Z zapałem i bohaterstwem walczył w marzeniach z urojonemi przeciwnościami — teraz pragnął walki z prawdziwym zatorem.

Do tego uczucia dołączyła się nieokreślona chęć zemsty. Zemsty za „sponiewieranie miłości. Właś-

ciwie jasno zeznawał, że żadne poniewieranie nie miało miejsce, że kochać się przestał w Irze bez żadnego postronnego impulsu, że, wreszcie, ona go również kochała, a miłość jej ku niemu zgasła tylko i przedewszystkiem dzięki niemu, — jednak.... Jednak pragnął zemsty za to, że ją mógł kiedykolwiek kochać, że tak późno poznał prawdziwą gienezę swego uczucia ku niej.

Konie zwoływały biegu i same stanęły.

Błocki drgnął i otrząsnął się. Przed nim wznożyła się, srebrnym światłem zalana, ściana domu.

Prędko wbiegł do mieszkania.

— Był posłaniec z listem — zameldował zaspaspany fagas.

— Dobrze. Możesz iść.

Podszedł do biurka i niechętnie wziął do rąk kopertę, zapisaną wcale miłym rondem.

„Bardzo mi jest przykro, że nie byłeś wczoraj u mnie. Czekalam długo, bo nigdy przypuścić nie mogłam, że nie przyjdiesz. Coprawda pewną jestem, że tylko ważne przeszkody wstrzymały cię od tego, a jednak smutno mi jest bardzo. Może zresztą smutno mi dlatego, że taki szary bezbarwny dzień dzisiaj.

niezmienną i niezależną od form przemijających, które pozwalają na mniej lub więcej intensywne jej oddziaływanie.

Nie wyklucza wcale „krajowość“ zainteresowania do spraw ogólnonarodowych, przejęcia się i oddania tym dążnościom, które każdego polaka żywo obchodzić muszą niezależnie od tego, gdzie mieszka: na ziemiach polskich, czy na Litwie, w głębi Rosji czy w Ameryce. Gdy jednak na emigracji czuje się przybyszem skazanym na czasowy pobyt z myślą o przyszłym lub dalszym powrocie do stron rodzinnych, na Litwie i Białej Rusi polak stanowi czynnik lokalny, związany z ziemią, z krajem, który jest i będzie jego ojczyzną.

Losy jej nie mogą dlań być obojętne. Pragnąłby rozwój jej skierować na tory które, uważa za najbardziej racjonalne i pożądane. Wie jednak, że jego wola i jego pragnienie nie decydują, nie są siłami wystarczającymi. Zmuszony jest oglądać się na to, co powiedzą inni tego kraju mieszkańcy, dla których jest on wszystkim, którzy myślą poza jego obręb nie wybiegają. Więc rozumiejąc, że odosobnienie skazuje go na rolę bierną, nagina swój program do wymagań chwili, nie uchyla się od wspólnej pracy przy wspólnym warsztacie, miarkuje swe popędy, by te nie uniosły go zadaleko, tam, dokąd nikt za nim obecnie nie podąży.

Oto geneza „krajowości“.

Ale jednocześnie może patrzeć z ufnością w przyszłość i wierzyć głęboko w żywotność idei narodowej, której symbolem jest czyn.

L. Abramowicz.

▷○○○○○○○○◁

Żywotny ruch.

Kółka rolnicze im. Staszica.

Kółka te założyli ludzie, którym chodziło nie tylko o podniesienie kultury rolnej u małopolskich, ale i o zbudzenie w masach ludowych poczucia przynależności do życia społecznego.

Lękam się, by moje usposobienie nie udzieliło się tobie.“

Przerwał czytanie i uśmiechnął się.

— Jaka troskliwość! — pomyślał.—Zawsze boją się „one“, by ich stan duszy nie udzielił się komukolwiek. No!... Dalej, naturalnie, gorące pocałunki i „przyjdź jutro o szóstej. Koniecznie. Zofja“. Od tego trzeba było zacząć!

Porwał list, rozebrał się prędko, buchnął na łóżko i spał mocnym snem bez marzeń.

Nazajutrz spotkał na ulicy Iry z Bojańskim. Szli pod rękę, gawędząc wesoło. Brzoskwiniowe policzki Iry płonęły na mrozie szkarłatem, czerwone wargi śmiały się, turkusowe ślepki wesoło patrzyły przed siebie.

Na grzeczny ukłon Błockiego odpowiedzieli obojętnie, prawie oziębło.

Uśmiechnął się.

Czuł że rozpoczyna pierwszy akt komedji, a może tragedji, którą sam stworzyć pragnie. Mimo, że wiedział o płytkości duszyczki swego obiektu, jednak w oczach Bojańskiego była tak jawna niechęć ku niemu i tyle uczucia dla Iry, że nie wątpił, iż impreza, którą przedsięwziął, będzie nietylko walką z „za-

Chcieli za pomocą tej czysto ekonomicznej na pozór instytucji, urabiać obywateli i ludzi nowych. Czy kółka im. Staszica kierują chłopów na dobrego obywatela tej [ziemi, na której jest odwiecznym rozmnoźcicielem chleba?

Pomimo arcy trudnych warunków, w jakich ta instytucja pracować musi,—każdy, kto się bezpośrednio zetknął z pracą Staszicowców po wsiach, w stowarzyszeniach różnych, które zakładają, kto słuchał ich obrad na dorocznych zjazdach, odnosi wrażenie, że są to ludzie, którzy śmiałym okiem sięgają po za opłotki swej wsi, parafji, gminy i obejmują potrzeby ludu w całym kraju. Co więcej, w coraz szerszym zakresie interesują ich zagadnienia wychodzące po za obręb spraw ogół ludu polskiego obchodzących, i dobierają się coraz śmielej do zagadnień ogólnoludzkich.

To rozszerzenie światopoglądu rolnika drobnego w Królestwie jest w znacznej części zasługą atmosfery wnoszonej na wieś polską przez młodzież z postępowych szkół gospodarczych, która wróciwszy na wieś, albo wchodzi do istniejących już organizacji Staszicowskich, albo je zakłada tam, gdzie ich nie było, tworząc sobie grunt do pracy społecznej. Założenie kółka rolniczego im. Staszica na wsi nie jest rzeczą łatwą.

Kółka te, jako najdzielniejsze rozsładniki postępu i niezależnej idei ludowej, są bezwzględnie zwalczane przez wszystkie te czynniki, którym zależy na utrzymaniu „status quo ante“ na wsi. A więc: zwalczą je ksiądz proboszcz, dziedzic, dzierżawca, rządca, lekarz, adwokat z miasteczka, rejent, kupiec.

Wszyscy ci ludzie, o ile niema między nimi jakiegos zdecydowanego postępowca i szczerego demokraty, tworzą spisek napozór niezorganizowany, w rzeczywistości solidarnie przeciwdziałający powstaniu placówki chłopskiej, bo wszystkim im wygodniej, spokojniej żyje się z chłopem potulnym, biednym, ciemnym.

A więc: założenie kółka rolniczego im. Staszica nie jest rzeczą łatwą, przeciwnie, trudne to przedsięwzięcie, prowadzić je trzeba pod gradem

sadami“ Iry, ale i walką z energją jej narzeczonego.

Znow uczuł miły dreszczyk emocji.

Raźniej mu się zrobiło na duszy. Nie cierpiał, bowiem, przeświadczenia, że jest „szarym pyłkiem“, niegodnym uwagi. Z dwojga złego,—wolał być przedmiotem nienawiści lub niechęci, niż wzdardliwej obojętności.

Wesoło spojrzął na świąteczny tłum.

Wkoło skrzybiał śnieg, brzęczały sanie. Dym różowemi słupami wił się w mroźnym powietrzu.

Po chwili wszakże nowe uczucie owaładnęło nim. Uczucie, które zawsze wkradało się do jego istoty, gdy był w tłumie. Dokoła kłębiło się mrowisko ludzi, każdy śpieszył przed siebie z widmem urojonego celu przed oczami. On też był jedną z tych drobnych mrówek społecznego mrowiska. Przeświadczenie to napełniło jego istotę uczuciem przygnębienia, chwilowego niesmaku, bezsilności. Mimowoli zgarbił się i ociężale powłóczył nogami.

— Wacek...—posłyszał cienki i nieśmiały głos.

Drgnął i przystanął, przed nim stała mała kobietka z bardzo różową i bardzo naiwną twarzą, z tęsknem i łzawem spojrzeniem czarnych, dużych oczu.

— Ach! To ty. Zocha. Dzień dobry.

oszczerstw, drwin i zasadzek stawianych bardzo często ręką bratnia.

Że Tow. Staszycowskie mimo to, rozwija się normalnie, i z każdym rokiem święci swój lepszy rozwój, dowodzi to jeno hartu i krzepkiej woli ludu, który nie tak łatwo da się zawrócić z wytkniętej drogi.

Obecnie T-wo w 7 roku swego istnienia posiada 123 oddziały w kraju całym, 5000 członków, podejmuje coraz szersze dla ogółu małorolnych prace, jak: budowę Domu ludowego w Warszawie i zakładanie chłopskich syndykatów służących potrzebom małorolnego rolnika. Członkowie na drugim już zjeździe omawiają sprawę ujęcia handlu zbożem w swoje ręce, ale ponieważ w pierw należy ujednostajnić produkcję zboża w całym kraju wśród małorolnych, więc sprawa ta musi być odłożoną aż do tej chwili, gdy przynajmniej większość drobnych rolników produkcję zbożową dostosuje do wymagań rynku.

Tu i owdzie, włościanie rozszerzają produkcję warzyw, robią próbę z hodowlą nasion, a wszystko to dowodzi, że postęp w ustach chłop polskiego nie jest jeno frazesem, ale wcielenie znajduje w całokształcie zjawisk z zakresu wiejskiego życia i jest procesem zmiany zasadniczej w strukturze duszy ludowej. Kółka rolnicze im. Staszica biorą nader żywy udział i przyczyniają się wysiłkiem swych członków do pisania żywej historii ludu polskiego, w wieku przejętym idejami demokratyzacji wiedzy i kultury.

Pismo ludowe.

Jak dotąd w Królestwie jedynym pismem, które lud polski pcha naprzód rozwija, kształci, lepsze pomysły mu poddaje; do krytycyzmu zaprawia, a zarazem w najszerszym zakresie odzwierciadla to, co chłop polski myśli, czuje, robi i czego pragnie;—jest tygodnik społeczno-rolniczy „Zaranie”. (Warszawa Kanonja № 8. Cena 4 rb. rocznie).

Pismo to skupiło wśród swych czytelników najświetlejszy odłam ludu, hołduje idejom postępu ewolucyjnie, nie radykalnie bynajmniej rozumia-

nego, odważa się na krytykę szkodliwej, pod względem społecznym i moralnym działalności księży i obszarników, a choć stara się czynić to przedmiotowo, jednak w sferach klerykalno-ziemiańskich uchodzi za paszkwiliście i warcholski swistek, z którym jednak obie sfery liczą się poważnie „de facto”, choć oficjalnie okazują pismu ludowemu lekceważenie. Niezbyt dawno „Zaranie”, za swą działalność, mającą na celu próbę oczyszczenia augjaszowej stajenki, jaką przedstawiają stosunki między plebanjami a chatą i dozorami kościelnymi, za ujawnienie całego szeregu nadużyć gorszących w tej dziedzinie, zostało zaszczycone klątwą dwóch biskupów: plockiego i kieleckiego. Zaczem poszła klątwa z arcybiskupiej kancelarii w Warszawie.

Mimo tych gromów, lud przy swem piśmie wytrwał, na szykany świadczony „mniemanym heretykom”, bo tak przedstawili infułaci wierzących, jeno antyklerykalnie usposobionych „Zaraniarzy”, ci ostatni zacisnęli zęby, ale rezonu bynajmniej nie stracili. Przeciwnie, z coraz lepszą fantazją i coraz owocniej pracują nad tem: aby wieś polska zbudzona ze snu zaczęła tworzyć coraz gęstsza sieć kółek rolniczych, maślarni, kas pożyczkowo-oszczędnościowych, stowarzyszeń spożywczych, spółek wytwórczych, a to dla zwiększenia dobrobytu, ale że „zaraniarze”, nie tylko samym chlebem żyć chcą, więc zakładają szkoły, urządzają odczyty, wycieczki zbiorowe po kraju, tworzą trupy teatralne, amatorskie chóry śpiewacze, biblioteki.

O wszystko, zanim założą, mają zwyczaj po radę zwracać się z ufnością do redakcji „Zarania”, stamtąd czerpią wskazówki prawne, wzory ustaw instytucji zakładanych, tam też przesyłają sprawozdania z działalności tych stworzonych przez siebie placówek.

Między czytelnikami a redakcją istnieje stosunek żywy, pełen miłości, zaufania i wdzięcznego uznania ze strony ludu, miłości i pracy rzetelnej a czujnej, ze strony redakcji. Pismo redagowane jest starannie: daje czytelnikom wiadomości treści ogólno-kształcącej, ekonomiczno-społecznej, wiadomości bieżące, przegląd polityczny i dział rolniczy.

— Dzień dobry. Dokąd idziesz?

— Przed siebie, to jest, przechadzam się. A ty?

— To samo.

Zaległa pauza. Wreszcie kobieta przemówiła nieśmiało.

— Wacek....

— Co?

— Zajdźmy do mnie...

— Po co?

Było to tak okrutnie szczere, że w oczach Zochy zaszklity się łzy.

Blocki dojrzał je i poprawił się.

— Widzisz bo... Czuję się tak nieswojo i źle...

Jeżeli mam być szczery, to ci powiem, że nie byłem wtedy u ciebie nie dlatego, bym nie mógł. Wprost nie mogłem być. Łaknę teraz samotności i spokoju.

— Chory jesteś—spytała troskliwie.

Skrzywił się.

— Nie, nie jestem chory. Zresztą może to choro-
roba? Czy ja wiem...

— ... jesteś zanadto drażliwy... przejmujesz się wszystkim... najmniejsza błaństka drażni cię...

Zrobił ręką giest bėznadziejny.

— To nie błaństka!

Milczeli czas pewien.

— Zajdźmy do mnie — trochę śmieiej zaproponowała Zocha.

On zaś objął taksatorskim wzrokiem jej filigranową, ale kształtną postać od zgrabnych nóżek do zarumienionej twarzyczki.

— Dobrze, zajdźmy do ciebie! — rzekł z rezygnacją.

Zmrok już był gęsty, gdy wychodził z mieszkania Zochy Bieleckiej.

Czuł jeszcze ciepłe i kochające uściski toczonych ramion i pocałunki dziecinnie świadomych, wilgotnych warg.

— Bydle jestem — pomyślał z pasją.

— Wciąż był pod urokiem zacisznego pokoiku, oświetlonego lampą z czerwonym abażurem. W uszach dźwięczał mu miękki, nieśmiały sopran Zochy, który z każdego frazesu tworzył mile łaszczące słuch dźwięki.

— Biedactwo!—przemknęło mu w głowie w nagłym wylaniu tkliwości.

Szedł prędko, stukając z pasją laską po chodniku.

Zocha kochała go. Kochała z oddaniem się

Że „Zaranie“ spełnia rzetelnie swe zadanie wychowawcze i informacyjne, za dowód może służyć to, że jego czytelnicy dostarczają największy procent czytelników wiejskich wypożyczających książki z czytelnicy „Kultury“, oni też, starają się tworzyć małe biblioteczki domowe, a zamożniejsi pozwalają sobie na prenumerowanie kilku nieraz pism; prawie wszyscy zaś mają już zwyczaj czytywać stale książki, bo już poznali głód wiedzy.

St. Poraj.

oooooooooooo

NAD SEKWANĄ.

(Korespondencja własna „Przegl. Wil.“).

Paryż w kwietniu.

Salon niezależnych.

Jeśli chcielibyśmy określić w kilku słowach syntetyczne życie Paryża — to musielibyśmy go nazwać miastem skondensowanej energii życiowej. Energia ta — siłą odśrodkową swej różnorodności — rozpiera jednocześnie w różnorodnych kierunkach, lecz charakter narodu o wybitnych cechach rasy łacińskiej chwyta i spaja pracę ową w jednolitą całość.

Jest to wrażenie, które musi otrzymać każdy, kto głębiej wejrzy poza utartą pospolitą formułkę, iż życie Paryża to kabarety i wyrafinowana rozpusta.

Właściwie ta druga, wesola strona Paryża, żyje i utrzymuje się dzięki napływowi cudzoziemców — Paryż prawdziwy, Paryż istotny — to wyteżona energia pracy na każdym polu tak ekonomicznym jako też intelektualnym i artystycznym.

Jednocześnie — gdy polityka obiera nowego prezydenta, gdy tworzy i obala nowe gabinety, gdy ludność potępia — to znów wotuje za trzechletnią służbą wojskową, gdy z jednej strony zbierają

podpisy młodych licealistów, gotowych oddać swe ciała na usługi rzeźni wszechświatowych, a z drugiej urządzają manifestacje socjalistyczne przeciw nowemu prawu — jednocześnie nie ustaje i góruje po nad tem wszystkim wyteżona praca dnia codziennego. Tu — świat naukowy urządza kongres wychowania fizycznego i ściąga z całej Europy koło 2000 ludzi zainteresowanych tą kwestją, tam konkurs hipiczny — daje szerokie pole popisu — a znowuż świat artystyczny przedstawia rezultaty pracy sezonu zimowego, otwierając szereg wystaw wiosennych.

Pierwszą naturalnie jaskółką tej wiosny — to salon Niezależnych (Indépendants). Wielokrotnie miałam już sposobność mówić o tym salonie, oceniając dobre i złe jego strony. Czytelnicy „Przeglądu Wileńskiego“ w roczniku ubiegłym — znajdują me sprawozdanie z tegoż Salonu i stosunek jego do dwóch innych — zwanych naogół oficjalnymi. Dziś umieszczę o nim przedewszystkiem charakterystyczną, a zwięzłą wzmiankę artysty Bouche z tygodnika: „La Vie“; następnie, na tle ogólnych wrażeń zajmę się nieco pracami naszych artystów.

Oto, co pisze p. J. Bouche o „Niezależnych“: „Stworzyli oni nową generację artystów znudzonych sztuką dnia wczorajszego, a odrzuconych przez zamknięte stowarzyszenia Artystów Francuskich oraz Tow. Sztuk Pięknych (Nationale).

Wyemancypowali rynek naszych znanych handlarzy sztuką.

Odświeżyli paletę i umysły artystów świata cywilizowanego.

Zrodzili dziecię: t. j. „Salon Jesienny“.

Ugruntowali już poprzednio zazdrosną opinię. Dopomogli neurastenji naszych współczesnych.

Zebraли nieśmiałych, niespokojnych, słabych, burzliwych, sprytnych, skrzętnych wreszcie szaleńców sztuki.

Stworzyli człowieka dnia ubiegłego t. j. Cezanne'a.

Przygotowują człowieka Jutra.

W rezultacie — niezależni mają swój blask!...

i wiernością bezbronnej, słabej istoty. Kochała go ślepo. Kochała jego ciało i duszę. Kochała każde słowo, ruch, spojrzenie. Kochała odzież i wąsy, włosy i obuwie, oczy i zapalniczkę kieszonkową, dlatego, że to było jego.

A on nigdy jej nie kochał.

Śmiało podszedł by zerwać kwiat czysty, wonny, świeży. Zerwał go, wpiął sobie w klapę i teraz nie wie, co z nim począć. Wiecznie nie może go nosić, bo mimo swej lekkości, jest on pewnym, dość męczącym ciężarem.

Wyrzucić? — To było by zbyt okrutne.

Okrutne, a przedewszystkiem — nieestetyczne.

Choć nie składał jej żadnych przysiąg, choć nie dawał jej nawet nadziei, choć pastwił się nad nią z bezwzględną brutalnością egoistycznego samca, jednak ma względem niej pewne „moralne obowiązki“.

Bądź co bądź, gdy mu było źle i pusto na świecie, gdy świat cały najbezczelniej pokazywał mu całą ohydę swej „odwrotnej strony“, — znajdował ukojenie właśnie w tem zacisznym mieszkanku, zdala od trosk nerwowego życia.

Gdy usta Zochy łączyły się z jego ustami, gdy jej ramiona z lubieżną tkliwością owijały jego szyję, —

zapominał o szarem życiu. Więc nie z litości przyjął to uczucie! Wzamian dała mu ona wiele chwil, jeżeli nie pięknych, to w każdym razie — miłych. Odtrącenie było by więc nie tylko zbrodnią względem niej, ale i względem siebie.

A ciężar ten, ciężar lekki i tkliwy, męczył go coraz wyraźniej. Tem wyraźniej, im wyraźniej rysowała się w majakach wyobraźni smukła postać Iry...

Po chwili dzwonił przed mieszkaniem Brzeskich. Zastał towarzystwo w salonie. W kącie, na kanapie Ira gawędziła z narzeczonym. Starzy Brzescy pertraktowali z jakimś nieznanym mu młodzieńcem.

Chociaż dalekie pokrewieństwo zezwalało na nieetykietalne wizyty, jednak Błocki uczuł, że wszyscy spojrzeli nań z niechęcią. Nie zraził się, — tylko w mózgu przemknęła zacięta myśl:

— Aha, już Bojański rozpoczął kontr-akcję.

Swobodnie przywitał się z rodzicami, zawarł znajomość z młodzieńcem — panem Liwskim — który był dawnym kolegą, czy przyjacielem Bojańskiego, poczem podszedł do narzeczonych.

— Jak dobrze, że pan przyszedł — zawołała Ira po przywitaniu — rozstrzygnie pan mój spór z Jasiem.

— Dziękuję za dowód zaufania, — odparł z uśmie-

Przytaczam tę krótką wzmiankę — gdyż ilustruje ona wspaniale ów znany powszechnie — „esprit français“ — czyż można bowiem w bardziej zwiezłych słowach dać lepszą charakterystykę? W gruncie — niby to nie — a jednak jest tu zebrane wszystko, co o tym Salonie powiedzieliby w długich, wyczerpujących artykułach przeciętni dziennikarze, zwani szumnie krytykami sztuki.

Pierwsze sale nie przedstawiają tym razem nic ciekawego. Z małymi wyjątkami są to słabe loty młodego ptactwa, które widząc przed sobą zamknięte jeszcze drzwi oficjalnych salonów, tutaj — próbuje swych sił. Z chwilą otwarcia sezonu — wielu z nich hurmem stąd odleci. Posuwając się w głąb tych długich, prowizorycznych sal wielkiego pawilonu na Quai d'Orsay — widzimy prace artystów bardziej zwartych grupami, których łączy jakieś wspólne poszukiwania, ideje, tradycje. Są też tu i tacy, którzy z zasady od lat wielu trzymają się tego salonu, albowiem nie uznają w dziele sztuki żadnego „jury“, ani też nagród ni medali.

Najbardziej zwartą, powiem — najharmonijniej wytrzymałą w stylu jest sala neoimpresjonistów. Przewodzi jej i w tym roku Paweł Signac — prezes Niezależnych. Właściwie wobec narzucających się z każdym rokiem nowych kierunków — grupa ta mogłaby czynić wrażenia „arriérés“ — lub „ar-rivés“.

Wistocie — szczególnie odłam punktystów („pointillistes“) to ludzie, którzy z maestrią operują raz zdobytymi środkami, nakładając z pewną schematyczno - matematyczną ścisłością swe barwy bezpośrednio w formie równych, jeden przy drugim idących punktów. Jest to dość jednostajne w technice, lecz daje gamę tonów miłą dla oka i zharmonizowaną. Głównie efekty świetlne, gra i drgania światła i fal powietrza pozwalają się tu podziwiać.

Śród neoimpresjonistów mamy prace: Bertrand, Butler, Jousset, Luec, Reymond Desgrange, M-me Chauchet, Cousturier, Petit Jean, Robin i innych.

chem — lecz kwituję z godności superarbitra, by nie narazić się którejkolwiek stronie.

Mówiąc tak patrzył bezczelnie w ciemne oczy Bojańskiego.

— Tak chodzi panu o to? — spytał tamten, śmiało spotykając spojrzenie.

— Nie lubię mieć wrogów.

DIALOG ten nie bawił Iry, bo zmarszczyła złote łuki brew i zwróciła się do narzeczonego.

— Jasiu, powiedz panu Wacławowi o naszej sprzeczce.

— Nie warto.

— Proszę cię, bo sama powiem.

— Mów.

— Otóż, — zaczęła Ira, zwracając się do Błockiego — Jaś chce donieść, że istnieje przeszłość, gdy ja jestem zdania, że wraz z całym wszechświatem pędzimy wciąż przed siebie, że każda chwila jest nową, zaś po upływie sekundy już nie istnieje, a nadchodzi druga. Przeszłość jest tylko niby śladem w naszych istotach.

Błocki słuchał z pobłażliwym uśmiechem dyletanta.

— Poczynamy wchodzić w sferę metafizyki — przemówił — jazaś...

W tej sali widzimy też bogatą w barwy paletę Jana Peske, polaka, przebywającego w Paryżu od lat wielu, na którego jako artystę sztuka francuska silnie oddziaływała. Są pejzaże silne w rysunku i kolorycie.

Dalsze sale grupują legitymujących się od Cezanne'a, Gauguin'a. Są tu neoklasycy, są poważni poszukiwacze formy pełnej, zwartej w sobie, kompozycji silnej, uwarunkowanej koniecznością powstania takiej właśnie — nie innej.

Tutaj zaliczyłabym Dunoyer-de Segonzac (uważanego powszechnie za kubistę), pannę Laurencin — (Le bal elegant) — obecna kompozycja jej bardziej powierzchowna niż prace lat poprzednich; Laurens, rzeźbiarza, którego rysunki odznaczają się silnym pojęciem bryły, formą pełną i zwartą.

Mówiąc o tej grupie, myśl łączy z się pracami E. Zaka. Nie chcę przez, to powiedzieć, by młody ten artysta, którym słusznie możemy się chlubić, specjalnie do niej należał. Jest on zupełnie indywidualny, zawdzięcza swój rozwój własnym, poważnym studjom. To, co widzimy dziś, mówi o nowym kroku naprzód.

Zajęty zasadami dobrej kompozycji, silnej i szlachetnej budowy — artysta ten dał dotąd cały szereg prac pięknie skomponowanych, silnych w rysunku. Dziś jednak widzimy go bardziej swobodnie inspirującym się z natury. Nadaje to większą świeżość i bezpośredniość wizji, a sztuka jego nie przy tem nie ztraca z poprzednich walorów. Staje się jedynie bogatszą i pełniejszą.

Do sali kubistów dostał się Van Dongen. Sztuka jego skłania się coraz bardziej w kierunku afisza. W dzisiejszej epoce reklamy jest to zupełnie zrozumiałe. Dobry afisz — to dzieło sztuki. Pierwszorzędni artyści znajdują tu ujście dla swych bujnych pomysłów i barw krzykliwych.

Zmarły w roku ubiegłym naiwny celnik Rousseau znalazł tym razem naśladowców. Sztuczna jednak ich naiwność raczej bawi i śmieszy — nie wnosząc nieodzownego dla sztuki pierwiastku prostoty i świeżości.

Dziecinnie prosty sposób traktowania jest zbyt nieszczerem, by mogła tu być mowa o pię-

— Bynajmniej! — przerwała żywo — nie chodzi mi wcale o badanie istoty tej kwestji. Pozostawiam to filozofom. Chcę tylko powiedzieć, że przeszłość z jej całym legionem przeróżnych zajęć, wypadków, uczuć, wrażeń etc. zostawia w duszy tylko ślad. Jeżeli nadchodzi nowe uczucie, to, samo przez się, uczucie które było, już nie istnieje, najwyżej pozostał ślad.

— A ja, — rzekł Bojański — trzymam się starej maksymy. „Czem skorupka za młodu“... Może, zresztą, jak mówisz, to co było, pozostawia tylko ślad, ale ślad ten jest tak wyraźny, że żadna siła ludzka nie może go zniweczyć.

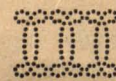
Błocki kiwał sentencjonalnie głową.

— Zupełnie zgadzam się z panem. Osobiście święcie wierzę w niezłomną moc i dziewiczość pierwszego uczucia, czy wrażeń. Jeżeli, na przykład...

Zaciął się.

Bojański słuchał w milczeniu, Ira wlepiła weń ciekawie swe szerokootwarte turkusy.

D. c. n.



knie. Takim są: Poizey, Lesztinski, Krogh, Vellay, Villaume. Ostatni jako wspomnienie katastrofy „Titanica” — dał obraz, zatytułowany: „Zły duch morza”. Przepominając to ma prymitywów, więcej jednak zbliża się do dziecinnych malowań, nie stety, bez ich szczeroci.

Zanim przejdziemy do kubistów, słów parę o rzeźbach Nadelmana, idejowo złączonego z neoklasykami. Przy pozornej sztuczności formy zowią go niesłusznie pseudoklasykiem; jest tu harmonijne piękno linii, które zniewala, każąc wnikać głębiej w istotę twórczości artysty.

W pracach jego znać studja poważne, znajomość formy dużą, świadome operowanie materiałem. Rysunki jego to studja dla rzeźby, dążą również jak i rzeźba jego do zharmonizowania linii niby melodji w muzyce.

Nie należącym do żadnej szkoły jest artysta malarz Dupont. Portret, który tu widzimy, daje na pierwszym planie silną postać znanego rzeźbiarza polskiego Wittiga—tło stanowi atelier jego z wylaniającymi się blokami rzeźb. Drugą stronę kompozycji zamyka postać dziewczęcia o bardzo szlachetnej linii.

Szkoła kubistów, nie zdoławszy się rozwinąć należycie—zdaje się przeżywać już okres schyłkowy.

Zwolennicy jego przechodzą gremjalnie do nowego obozu. Tym nowym, najświeższym kierunkiem jest *orfeizm*. Podobno Orfeusz ma nadawać imię nowej grupie.

Oto — co mówi o nim Andrzej Warnod w „Comoedia”.

„Kubizm i Orfeizm należą do jednej rodziny. Podczas jednak gdy kubizm całkowicie opiera się na rysunku—orfeizm jest poszukiwaniem czystego malarstwa. Gdy u kubistów tony są neutralne, obrazy orfeistów jarzą się barwami — chodzi tu o studjowanie przejść promieni świetlnych po przez płaszczyzny. Kubizm i orfeizm—uzupełniają się!...

Zaś Wilhelm Apollinaire w nowym piśmie poświęconem sztuce Niezależnych mówi o tym kierunku („Montjoie”):

„To—spółczesność. Jest to malarstwo jednocześnie suggiestywne i obiektywne, które działa na nas podobnie — jak natura i poezja. Światła tutaj są w całym swym blasku. To nowe zadanie i dążenie kubizmu”.

Właściwie jednak to raczej nowa chęć wyróżnienia się i zwrócenia uwagi.

Z kubistów lat poprzednich reprezentują obecnie orfeizm: Delaunay, Seger, Picabia Metzinger, Gleizes, Bolz R. de la Fresnay, Pełczyński, Kupka, wreszcie widzimy tutaj panią Żerebcow, która z całą nonszalancją pracę swą tytułuje: „Ce, qu'on voudra”—„Wszystko—co chcecie” czyli wolno sobie każdemu dowolnie treść interpretować—wystarczyć...

A jednak — pomimo wszystkie dziwactwa — każdy, kto na zadania sztuki patrzy szerzej — w salonie tym prędzej niż—gdziekolwiek indziej—znajdzie jakiś szerszy i szczerzy powiew: tu — uderzy go śmiała linja rysunku, tam — piękno kompozycji, ówdzie—studja w kierunku poważnej tradycji w sztuce.

Polaków—prócz wyżej wymienionych—spotykamy koło czterdziestu nazwisk. Liczba—pokaźna,

rezultat prac — ogromnie różny. Zająć się szczegółowo pracami ich — niesposób — przekracza to ramy zwykłego artykułu.

Muszę z konieczności ograniczyć się do nazwisk. Z czasem do niejednego z nich — jako do wybitnej indywidualności—mam nadzieję powrócić w studjum obszerniejszem.

Zatem w salonie wystawili: młoda artystka Buchholz, dobrze zapowiadające się rzeźby; Golembiowski Witold; Grabowski: „Do kościoła”; Grabowski Adam—pejzaże; dalej — Granzow; Gwozdecki — w dziale rzeźby i malarstwa; Hassenberg — wioskę korsykańską oraz martwą naturę; Hermanowicz, parafrazujący w sposób zbyt skomplikowany „tragiedję Polski”, Homolacs, artystka-rzeźbiarka — rysunki i pastele; Indenbaum — ciekawą i silną w budowie rzeźbę: „Heros biblijny” oraz płaskorzeźby — głowy żydów w nieco asyryjskiej stylizacji; Żółtkiewicz — impresyjną rzeźbę: „Fala” oraz „Śledząc gwiazdy”, Kisling, Kraszewska, Kramstyk, Lewicka; Makowski — niezbyt szczęśliwe próby kubizmu; Markussis; Markowicz Katarzyna — biust młodej kobiety oraz „Murzynka”; Mieszkowski — przy widocznym owładnięciu stroną rysunkową dziwaczne w interpretacji sceny księżycowe; Mondral — rzeźby; Popławska — portret oraz kompozycję; Rerutkiewicz — pejzaże w charakterze ogromnie polskie — szczególnie w widocznym po przez koloryt sentymencie; Rembowski — typy góralskie, o tematach szerokich, lecz rysunku dość słabym; Smogulecki — ciekawe projekty dekoracyjne do kaplicy; Jan Rubczak — pejzaże: „port z Audierne” oraz pejzaż polski, — mówiące o bogatej skali barw i silnym rysunku; Spiro, Pstrokońska, wreszcie Szeresz Felicja, idąca śladem dobrych tradycji w malarstwie w wystawionem panneau dekoracyjnym oraz głowie kobiety.

Wacława Kiślańska.

oooooooooooo

Wywiad z dyrektorem teatru poznańskiego.

Poznań, d. 12 kwietnia.

Kilka tygodni temu „Kurjer Litewski” zamieścił artykuł: „Czy Wilno może mieć dobrą operę polską?“, w którym zwrócono uwagę, iż opera poznańska latem jest wolna i — podobnie, jak Kraków sprowadza operę lwowską — mogłaby stale na miesiąc letnie zjeżdżać do Wilna. Byłaby to dogodność podwójna. Opera bowiem, tylko funkcjonująca rok cały bez przerwy, ma warunki stałego podnoszenia swej wartości artystycznej; tym sposobem wspólne posługiwanie się jedną instytucją przez Poznań i Wilno przyczyniłoby się do powstania trzeciej poważnej opery polskiej (obok warszawskiej i lwowskiej). Nadto zaś oba te miasta zdobyłyby instytucję kulturalną, odpowiadającą wymaganiom społecznym.

Artykuł „Kurjera Litewskiego” natychmiast przedrukował „Kurjer Poznański”, dodając wszakże, iż inicjatywa wyjść musi z Wilna. I nic dziwnego. Poznań uczynił wszystko, co było w jego siłach. Stworzył warunki, w których opera powstać mogła i utrzymuje ją na poziomie względnie bardzo wysokim.

Ponieważ — jak słyszę — i w Wilnie pomysł trafił do przekonania pewnych sfer; ponieważ nadto zwracano się w tej sprawie prywatnie do kilku osób w Poznaniu, postanowiłem spytać obecnego dyrektora sceny wielkopolskiej, p. Bolesława Szczurkiewicza, jak on się na tę kwestję zapatruje.

Przedewszystkiem pragnąłem wiedzieć, czy robił on jakiegokolwiek kroki, by już w zbliżającym się sezonie letnim dać Wilnu operę i operetkę poznańską.

— Oficjalnie — rzekł mi dyr. Szczurkiewicz — starań nie przedsiębrałem, ale może byłbym to uczynił, gdyby nie...

— Gdyby nie co? — wtrąciłem, nie mogąc doczekać się dalszego ciągu.

— Przed niejakim czasem, będąc w Wilnie (miałem bowiem interes do prof. Ruszczyca), wspominałem kilku osobom o projekcie przysłania tutaj na lato opery poznańskiej. Otóż jakkolwiek myśl tę naogół witano życzliwie, ostrzeżono mnie, że są też jednostki projektowi temu nieprzychylnie.

— Czyż ta okoliczność tak bardzo pana zniechęciła? Przecież w podobnych wypadkach o zupełną jednomysłność trudno.

— Tak, ale zrozumiałem, że oferta moja spotkać się może ze spółzawodnictwem ofert innych dyrekcji.

— Dobrze, lecz wiem przecie, iż opera poznańska — po warszawską i lwowską — niema konkurencji; czyżby się więc pan obawiał spółzawodnictwa?

— Naturalnie. W takich walkach mają często znaczenie względy uboczne. Ja zaś nie mogę instytucji poważnej, jaką jest teatr poznański, narażać na to, by dano przed nią pierwszeństwo jakiejś trupie ad hoc skłeczonej. Byłaby to dotkliwa, a — chyba przyzna pan — niezasłużona kompromitacja. Spółzawodniczyć można tylko z kimś sobie równym.

— Oczywiście, ale czy korzyść, jakąby stąd odniosła i scena poznańska...

— Korzyść — przerwał mi p. Szczurkiewicz — byłaby obustronna. Lecz niezależnie od tego projekt podobał mi się, bo dla Wilna czuję dużo sentymentu. Szczerze i żona moja i ja polubiliśmy to miasto, któremu chcąc służyć, poświęciliśmy dużo zapału. Zapał ten w Wilnie umiało wielu ludzi ocenić. To też łączą nas z tem miastem dobre wspomnienia. Ale... są to nasze uczucia osobiste. Nie wolno mi dla nich narażać godności instytucji, na której cele stoję.

— Teatr poznański — ciągnął dalej dyrektor — gra przez całą zimę, i nie jest znów tak daleko od Wilna położony. Odwiedzał nas tu zresztą szereg osób stamtąd (że wspomnę tylko red. Hłaskę, inż. Sokołowskiego, p. Studnickiego i in.); można więc z działalnością naszą bardzo łatwo się zapoznać. Jestem nawet zdania, że Tow. Pop. Sceny, szukając dla Wilna opery i operetki na sezon letni, byłoby najwłaściwiej postąpiło, delegując kogoś dla objechania istniejących teatrów.

Zresztą z poziomem sceny poznańskiej ponieważ zaznajomić się można, czytając pisma nasze — tutejsze, zamiejscowe, a nawet, jak panu wiadomo, najpoważniejszy organ francuski, poświęcony sprawom teatralnym, „La Comedie“ dał niedawno artykuł o naszej instytucji.

Sądziłem więc, że gdyby przyjazd trupy poznańskiej odpowiadał życzeniom wil. Towarzystwa popierania sceny, dano by nam wprost znać o tem.

— A jak pan sądzi — przerwałem, zmieniając nieco temat — czy wogóle jest możliwość utrzymania w Wilnie przez lato opery i operetki?

— W Poznaniu, gdzie teatr istnieje już od lat kilkudziesięciu, przekonano się, że dramat może nieledwie w zupełności na siebie zarabiać. Przy odpowiednim repertuarze, bezpłatnym lokalu, utensyljach i ewentualnie pewnym, stosunkowo skromnym subsydjum, strat być nie powinno, a mogą być nawet zyski. Opera natomiast, o ile stać ma na poziomie artystycznym, a więc odpowiadać wymaganiom kulturalnym, jest przedsięwzięciem dużo ryzykowniejszem, bardziej kosztownem. To też Poznań subsyduje swą operę kilkudziesięciu tysiącami marek. Starczy ta kwota na sezon zimowy, ośmiomiesięczny, ale nie starczyłoby jej na dodatkowe cztery miesiące wileńskie. Zresztą, samo Wilno ma już pod tym względem doświadczenie własne: wszystkie imprezy letnie kończyły się dotąd deficytem, jakkolwiek prowadzone były mniej kosztownie, niż opera poznańska.

Jaki jest poziom naszego teatru — pan sam wie najlepiej. Mamy 120 osób personelu, mamy reżysera, który prowadził przez czas pewien operę warszawską, mamy dobrych solistów nie tylko na scenie, ale również w orkiestrze (skrzypka i wiolonczelista), mamy dwu kapelmistrzów, muzyków bardzo wykształconych i t. d.

Gdybym wybierał się do Wilna, nie zgodziłbym się na zespół skromniejszy, bo to by obniżyło artystyczną wartość całości. Oto także względ, dla którego trudno mi pierwszemu czynić kroki. Nie obniżanie — nawet w czasie ferji letnich — poziomu artystycznego opery — to ambicja poznańska. Czy Wilno zechciałoby ją uwzględnić — pytanie.

Na tem zakończyliśmy rozmowę. Sądę, że w wynurzeniach tych znajdzie się niejedna informacja, ciekawa dla ludzi, interesujących się teatrem wileńskim i dalszym jego rozwojem.

(bh.).

oooooooooooo

Wielkanoc na Sachalinie.

(Wspomnienia najukochańszej siostrzyczce Zuli poświęcone).

Święta wielkanocne na dalekim krańcu Syberji, na Sachalinie, we wsi Rykowsku, przypadały na najsmutniejszą i najbardziej przykrą porę roku.

Co prawda zima zbliżała się ku końcowi, słońce świeciło już dłużej i silniej, czyniąc krąg nad ziemią wysoki, lecz śnieg zalegał jeszcze dokoła zwarty i oślepiający. Stąd od jego blasku chorowało mnóstwo ludzi, skarżąc się na charakterystyczny na północy ból kości nad brwiami. Zle odżywiani aresztanci zapadali dziesiątkami na t. zw. kurzą ślepotę. Różnica też pomiędzy ciepłotą dnia słonecznego i nocy była największa z całego roku — a wszystko to oddziaływało najujemniej na stan zdrowotny, zapełniały się szpitale, rosły wciąż nowe mogiły na cmentarnym pagórku...

Przeto słusznie powiadano, że nigdzie zapewne wielki post nie jest połączony z takimi umartwieniami ciała i duszy, jak tu... w tej kolonji zesłańców, pokutujących za popełnione winy...

Ku końcowi postu zbiegało się nadto najwięcej ciężkiej i naglącej pracy. Spieszono wywieźć i wyciągnąć z lasów przygotowane tam budulcowe drzewo, zapas drwa na lato i jesień a z łąk zno-

wu złożone w stogach siano, jako że w lecie nie ma tam dojazdu. Zarządy więzień wojsk, kompanje handlarzy transportowały z portu i głównego miasta Sachalinu zapasy prowiantów i rzeczy z zewnątrz dostarczanych, wkrótce bowiem następował dłuższy okres przerw w komunikacji podczas bezdroża wiosennego, z początkiem robót w polu. Ta zwózka forsowna po śniegu już nie zawsze wytrzymującym ciężaru zwierząt, albo i człowieka była jedną wielką męczarnią dla ludzi, koni i wołów.

Wogóle śnieg nie małą jest tu mitręgą. Walczyć z nim wypada na każdym niemal kroku. Poobsiadał np. budynki, tworzył w czasie mrozów pożądaną obronę—teraz szkodził już tylko swoją masą i wilgocią. Usunięty z dachów, ścian, obejsć, rozlewał się w nieprzebyte kałuże.

Nadeszła niedziela palmowa. Miejsce palm zastępuje na Sachalinie poczciwa wierzbina, po której różdżki, upiększone białymi kwiatami („barszki“) czynią się kilka dni przedtem wyprawy—szukać bowiem kwitnącą gałązkę wierzbową—rzecz tu nie łatwa. Należy zapuszczać się w liściaste lasy, w pobliżu rzeki rosnące w dwumetrowe warstwy śniegu, więc tylko na nartach, lub wczesnym rankiem pieszo, kiedy trzymały szrony. Szło się zaś po zamarzelj korze śniegu z niezwykłą, od jesieni nie odczuwaną ochoczością! Cieszył się człowiek swobodą ruchu, opanowaniem żywiołu, który go tak długo więził na jednym i tym samym wązkim terenie! Wybiegały dzieci, młodzież, las zapełnia się gwarem, wesołością, świergotem stad małych ptaków zwiastujących nadejście wiosny. A szron tu i owdzie nie dość mocny, pękał pod stopami z hukiem podobnym do wystrzału fuzji. Nowy więc powód do śmiechu i uciechy. Mający więcej upodobania ku zieleni, a tych przy silnej depresji duchowej liczono tutaj nie wielu, ścinali całe gałęzie olch, brzoź, czeremch, by je w domu wstać w naczynie z wodą i mieć już rozwinięte na niedzielę „wierzbowa“ i święta.

Wielki tydzień rozruszał wieś i centrum handlowe miasteczka. Uskutecziano obrachunki ze skarbem, katorżnicy otrzymywali trochę własnych pieniędzy, o ile mieli je złożone w zarządzie więziennym, gosposie kwapiły się do zakupów. Cerkiew, więzienie, szpital, zdobiono gałęzmi jodeł i świerków. Z kominów buchał dym gęsty, z dziedzińców bogatszych włościan szedł swąd osmalanych wieprzy. Na ulicach pojawiały się figury zręcznie i lekko stąpających gilaków lub oroków, witane długim psów ujadaniem. Wiedząc o kończącym się poście, znosili nam ci tubylcy znaczne ilości reniferów, zajęcy, jarząbków, kuropatw, guszców, albo i świeżą rybę: szczupaki, karasie, pstrągi.

Nabożeństwa w Wielki czwartek, piątek, czy sobotę ścierały do cerkwi zaledwie po kilkanaście osób, tak wszystko zdało się zajęte świątecznymi przygotowaniem. Dopiero Resurekcja, rozpoczynająca się o północy, gromadziła tu licznie zebraną prawosławną ludność, a nawet wyznawców innych religij, swoich świątyni pozbawionych. „Piewczyje“ (czyli zespół śpiewaków z aresztantów z dobrymi głosami złożony) popisywali się arcykunsztownymi melodjami, szturmując w ten sposób do kieszeni urzędników, oficerów o datki na dalsze podtrzymanie chóru.

Dzieciaki i podrostki nie mogły się nacieszyć ślicznym widokiem iluminowanej na zewnątrz cerkwi, rozrzucającej światło na otaczające ciemne przestrzenie.

Wszystko zaś oczekuje w jednakim nastroju obwieszczenia, iż „Chrystus zmartwychwstał“—hasła, które bodaj na chwilę uczyni równymi nieszczęśliwych zesłańców z ich korniej teraz stojącymi obok panami...

Widok zaiste szczególny—tej gromady katorżników i osiedleńców o zwieszonych ku ziemi głowach. Jakież to wirują w nich myśli? Oderwani od swoich najbliższych, od rodzinnych wsi, miast, widoków, rzuceni zostali o tysiące mil na dziką, przeklinaną wyspę... Zmieniły się pory roku, wiatry, zda się i promienie słoneczne i rozkład gwiazd na niebie... Inne tu pola, drzewa, kwiaty, zwierzy inny i ptactwo—ludzie też zgoła odmienni, odmienne prawa i zwyczaje. Został im tylko język i ta jednocząca ich cerkiew. Toż kiedy poczną się śpiewy i rozejdzie się wskroś zapach kadzideł a gromnice zamigocą... w duszach ich następuje przeobrażenie... Widzą się u siebie, w domu, wolnymi, bez więzów i znamienia katorżnika. Za chwilę okropna rzeczywistość weźmie nad złudzeniem górę—lecz odświeżeni duchowo, jacyś mocniejsi, wodzą pogodnym, jasnym okiem dokoła, rozradowani, prawie wdzięczni...

Już brzmi pieśń wesela. Rozkołysały się dzwony i huczą na całą okolicę. Ogólny pokój pocałunek i powrót... ciemną nocą z święconem do domów. A szczęśliwi ci, co mają rodzinę, chociażby przyjaciół, i nie obchodzą „rozwolnienja“ samotnie! Częstkę z przekrojonego jaja otrzymuje teraz każdy z domowników i kawalek mięsa. Niektórzy mają je w ustach po raz pierwszy od początku wielkiego postu.

Rankiem pop święci więzienie, kazamaty, całując się z „starostami“ oddziałów. Czynią to również i urzędnicy. W dniu pierwszym Wielkiejnocy zawieszono bywa „wyjątkowo“ wymierzanie kar cielesnych... Religja w stosunkach administracyjnych zostaje zepchnięta do strony obrzędowej. Natomiast bogatsi z osiedleńców, kupcy, kobiety dzielą się serdeczniej z upośledzonymi więźniami.

Od południa słychać bezładne, przykre uderzania dzwonów. To świąteczna praktyka podrostków. Im dziwniejsze kombinacje dźwięków, tem więcej uciechy! Na ulicach śpiewy i krzyki. Dzieje się to za sprawą wódki, którą dla święta zarząd wyspy pozwala kupować osiedleńcom w składach skarbowych. O ile zaś sprzyja pogoda—karuzele, huśtawki, ludowe teatryki, „bałaganami“ zwane, cieszą się ogromną frekwencją. Cukry, orzechy cedrowe, ziarna słoneczników rozchwytywane są przez młodzież wiejską. Gra „w orlanku“ (podrzucanie monet—orzeł czy reszka?) gęstych miewa zwolenników. Ale już najwięcej „katanije jaic“—toczenie jaj, gra czysto narodowa, w każdym niemal domu uprawiana. I... wymiana pisanek, barwionych przez dziewczęta w najrozmaitsze sposoby. Dobyte z kieszeni ofiarowuje się po pocałunku, otrzymując je też w zamian.

Jest to ulubiona zabawa młodzi. Starsi przesiadują przeważnie w domu, pędząc czas na długich rozmowach. Przeważnym ich tematem... wspomnienia. Lubiała gawędzić „o swoich świętach“, małorosjanka, Eufrozyna Akimówna, u której stołowaliśmy się lat parę na Sachalinie. Uważała się ona za jedną z najlepszych we wsi gospodyń, nie ustępującą w tem polkom, które na tym punkcie miały tu osobliwą sławę! „Pascha“, upiększona krzyżkami była jej specjalnością i dumą. Z ciastem tem związane są różne ciekawe przepowiednie. Opowiadała mi też Eufrozyna Akimówna o zwyczaju noszenia jaj zmarłym, które zakopuje

się w mogiły. Wielkorosjanki chwala się znowu wystawianiem na rozstajnych drogach, w noc przed Wielkanocą, kuliczów, bułki dla biednych i podróżnych, zwanej także „Bożym chlebem“.

W dniu tym, po południu, zasiadają dziewczęta „gniazdami“ na jakichś ulubionych miejscach, na gankach, stosach drzewa, zawsze w pobliżu swoich domów i intonują pieśni. Zaraz też odwiedza je młodzież wiejska z muzyką, rozpoczynają się rozmowy, żarty, tańce. Posiedziny te dziewcząt i odwiedzanie chłopców zwykły trwać do wieczora. Klimat Sachalinu nie pozwala na późniejsze „wieczorynki“.

Najprzykrzejszą stroną świąt — ogólne całowanie, pocałunku bowiem przy tej okazji nie można odmówić tu nikomu. Więc pierwszy lepszy nieznajomy, na przejściu wąskiej drogi, czy jaki taki pijanica darzy cię siarczystem całusem. Ta jedyna w swoim rodzaju ekspansywność rosjan, dla nas wprost niezrozumiała, dziwiła również zamkniętych w sobie, głębszych, przedstawicieli plemion kaukaskich, tatarów, sartów, wogóle mahometan.

Każdej Wielkiejnocy przychodził do mnie pewien starzec, administracyjny zesłaniec z Kaukazu i po krótkim przywitaniu zapytywał stereotypowo, czy niema już manifestu, czy nie będzie mógł wrócić do kraju... Wierzył on, że w wielkie to święto chrześcijańskie litość władzy musi się wyrazić w pięknym czynie przebaczenia. Biedny Jusup Kierbałaj-Ogły! Rozmawialiśmy więcej na mięgi. Jusup bowiem prawie nie władał rosyjskim językiem. A tak mi chciał opowiedzieć o swoim umiłowanym synu jedynaku. Alim, który oczekuje wciąż ojca w rodzinnych górach i może w tej chwili bawi się, jak każe zwyczaj, malowaniami jajami. Z wysień starca o szlachetnej, myślącej twarzy, z jego smutnych bardzo oczu i bezwładności prawie ciała, która następowała po tych niefortunnych próbach rozmowy, czytałem jedno, że brak mu ciężki, rozpaczny rodowitego języka, języka jego stron rodzinnych, którym zdawało mu się, że śpiewają ptaki, las szumi i pachną kwiaty, który brzmi jak najpiękniejsza muzyka, a tu... dla wszystkich jest tylko pustym dźwiękiem.

A my... cóż my tutaj?

Czyż na kresach Syberji czuli się polacy tak samo, jak ów Jusup z gór kaukaskich? Zapewne było nam lżej nieco. chociaż bowiem wśród obcych, mogliśmy przynajmniej mówić między sobą i rozumieć innych. Lecz ból, samotność, oderwanie od swego środowiska oddziaływały w czasie tradycyjnych dni najmocniej. Książki nasz dojeżdżał tylko w lecie, uroczyste zatem święta przechodziły bez nabożeństwa, modlitw i owych śpiewów wspólnych, bez polskiej mowy i swoich zwyczajów. Wspomnienia chwil świątecznych ongi na ojczystej ziemi, drogich sercu, porzuconych zdawna osób i tęsknota... tęsknota za krajem — wypełniały długie, męczące godziny Wielkiejnocy na zesłaniu.

Były to też momenty najkrytyczniejsze w życiu naszych rodaków. Nie brakło nadto nęcących pokus... Ale przez łyżę tęsknoty hartowała się i tkliwa dusza i uczyło się wytrwania do końca. — Więc umrzeć na zesłaniu, lub wrócić kiedyś do Polski — polakiem.

Bronisław Piłsudski.

▷○○○○○○○○◁

MOJ SEN.

*Na chwiejne morza kłosów i na polne kwiaty,
Na modre niezabudki i na jaskier dziki,
Na koniczyny miodne, lubiny i gryki,
Na lnów z lazuru nieba oderwane płaty;
Na długich miedz zbożowych szmaragdowe kraty;
Gdzie nuć piosnkę gwarną świerszcze i koniki,
Idzie mój duch — jak błędne moczarów ogniska,
Oblakany, choć jasny, zimny, choć skrzydlaty
Na te łąki, owiane zapachami mięty;
Na te pola, stojące we wczesnej jutrzence;
Na lazuruwej strugi węzowate skręty;
Na wielkie szumy borów, na pieśni ptaszące —
Idzie mój duch, oddechem ziemi owionięty,
Z ukochaniem do świata wyciągając ręce.*

Br. Ostrowska.

○○○○○○○○○○

PRZEGLĄD PIŚMIENNICZY.

Kudrynskiej. „Wilno w 1812 roku“.

Stuletnia rocznica „Wielkiej wojny“ wywołała w rosyjskiej literaturze historycznej całą powódź okolicznościowych dzieł, mniejszych lub większych broszur i artykułów. Śród tych wydań są rzeczy pierwszorzędnej doniosłości, które pozostaną cennym i trwałym dorobkiem naukowym, niebrak wszakże tandety pseudo-naukowej, zaśmiecającej rynek księgarski. Do tej ostatniej kategorii należy praca p. Kudrynskiego „Wilno w 1812 roku“, wydana nakładem Wileńskiego Okręgu Naukowego.

Dziwnem się wydaje, że tak poważna instytucja udziela swojej firmie pracom, nie mającym nic wspólnego z nauką. Pan Kudrynskiej oparł swą pracę na materiale już ogłoszonym w wydawnictwach Komisji Wileńskiej lub Cesarskiego Towarzystwa Historycznego, nie wyczerpał go jednak w całej pełni, to też po za drobnymi informacjami, zaczerpniętymi z archiwum Generał-gubernatorstwa Wileńskiego, nie dał nic nowego, pominął prawie zupełnie lub w małym tylko stopniu uwzględnił przebogata francuska literatura pamiętnikarska; z polskich źródeł zacytował autor jednego tylko Henryka Szmity, nie korzystał zaś wcale z cennych wspomnień lub rozpraw Balińskiego, Sołtyka, Załuskiego, Karczewskiego i innych, zdaje się nawet, iż „Kurjer Litewski“ jest cytowany podług przekładu, nawiasem mówiąc, pełnego błędów, umieszczonego w wydawnictwie Wojeńskiego.

Jako źródło wymienia autor pamiętniki Ławrynowicza p. t. „Wilno w roku 1812“, w rzeczywistości jest to przekład kilku rozdziałów chodźkowskich „Pamiętników Kwestarza“, umieszczone przed kilkunastu laty w miesięczniku „Istoriczeskij Wiestnik“. Tłumacz, znalazłszy przypadkowo znieszczone, pozbawiony początku egzemplarz „Pamiętników Kwestarza“, ogłosił je w przekładzie, jako mało znane, a nader cenne wspomnienia ks. Ławrynowicza. Ofiarą tej mistyfikacji padło kilku autorów rosyjskich, nie wyłączając p. Wojeńskiego, znawcy dziejów roku 1812. Nie przypuszczał

prawdopodobnie Chodźko, że na świadectwa jego „pocziwego kwestarza“ będą powoływać się uczeni rosyjscy, pisząc swe studia nad „rokiem wojny“. Posługiwanie się podobnymi źródłami, a niekiedy własna nader bogata fantazja autora zmuszały go do częstego mijania się z prawdą i pozbawiały pracę jego jakiegokolwiek znaczenia.

Niepodobna tutaj przytaczać wszystkich licznych błędów i nieściśłości, popełnionych przez autora, roi się od nich na każdej nieomal stronie. Wystarczy zwrócić uwagę na niektóre, ażeby zapoznać się z przygotowaniem autora do badań historycznych i metodą, którą się posługuje: tak np. na str. 62 pisze, że o stosunku Napoleona do Polski najlepiej świadczy nota, otrzymana w Petersburgu 8/20 października z Szampanji w odpowiedzi na reklamacje hr. Rumiancewa. Zachodzi tu zabawne nieporozumienie, polegające na utożsamieniu przez autora prowincji francuskiej z osobą ministra spraw zagranicznych Champagnego, o którego istnieniu zdaje się autor nie wiedział. Chętnie przypisałibyśmy ten fatalny lapsus pomocy drukarskiej, w tym jednak wypadku jest to rzeczą niemożliwą.

Bignon nie był przed wojną posłem, lecz tylko rezydentem francuskim w Warszawie i nie dla tego został przeniesiony do Wilna, że, jak twierdzi autor, zbywało mu na głębokości i nie był zdolnym do przeprowadzania zamiarów Napoleona. Wojna z Austrią toczyła się nie w r. 1808, lecz w 1809 r.; podług pokoju w Schoenbrunnie Księstwo Warszawskie otrzymało nie tylko obwód krakowski, lecz całą Galicję Zachodnią, wynoszącą 961 mil kwadratowych. Wszystko, co autor mówi o walkach partyjnych w Księstwie Warszawskim w okresie lat 1809 — 1812, jest zaczerpniętem z własnej bogatej fantazji, takąż podstawę mają wywody autora o politycznym daltonizmie Polaków.

W swojej pracy p. Kudrinskij kilkakrotnie powołuje się na relacje pamiętnikarskie Łgarza tej miary, co Marbot, obfitemi z nich cytarami szpikując swoją książkę. Stamtąd wziął też asumpt do rzucenia potwarzy na wojska polskie z powodu jakoby rabunków, popełnionych przez nie podczas odwrotu Wielkiej Armji. Przeczą temu liczne świadectwa pamiętnikarzy francuskich, oddających należyty hołd cnotom i męstwu wojska polskiego. Niepodobna nie przytoczyć na tem miejscu opinji o Polakach, sekretarza cesarskiego barona Faina, którego notatki są jednym z najcenniejszych źródeł dla poznania kampanji rosyjskiej: „Pomiędzy cudzoziemcami, którzy z równem wciąż poświęceniem idą za krokami i za szczęściem Napoleona, w pierwszym rzędzie Polaków trzeba wymienić... Sprawa ich jest stracona, a szlachetni ci sprzymierzeńcy zdaje się mniej wiedzą o tem od nas samych. O jednym tylko myślą, aby uczynić dookoła nas mur ze swoich szabel, swoich bagnatów, a gdy potrzeba to i ze swoich piersi, choćby wyzioną im przyszło teńnienie ostatnie“.

Wszystko, co autor mówi o rozporządzeniach i rozkazach, wydawanych jakoby przez Napoleona w Moskwie, a dotyczących utworzenia Księstwa Smoleńskiego, lub ogłoszenia się królem polskim i t. p. jest wierutnym fałszem, ani korespondencja Napoleona, ani ogłoszone rozkazy dzienne, nie zawierają podobnych dokumentów. Centnar zawiera około 125 funtów, nie zaś 40 funtów, jak to podano na str. 83. Posłem na sejm konfederacji obrano w Wilnie nie Chodźwicza, jak pisze p. Kudrinskij, lecz Poslewicza, pisarza rady miejskiej. Translokacja Jominiego do Orszy była wy-

wołana nie oziębieniem dłań Polaków, lecz ostrym zatargiem tegoż z generał-gubernatorem Litwy Hogendorffem. Nie generał Lachnicki, ale były marszałek wileński Antoni Lachnicki stał na czele deputacji wileńskiej, witającej Napoleona na Pohulance. Autorem „Teorii jestestw organicznych“ był nie Jan, lecz Jędrzej Śniadecki. Na str. 47 mówi o audjencji danej przez Napoleona ks. Kosakowowi, takiego ambasadora nigdy nie było, prawdopodobnie mowa tu o ks. Kurakinie posle rosyjskim w Paryżu; słynna scena, jaką mu wyprawiał Napoleon, miała miejsce 15 sierpnia 1811 r.

Pan Kudrinskij nie potrafi nawet cytować ściśle prac lub źródeł, na które się powołuje, zamiast „Istoricz. Wiestnik“ cytuje na stronie 32 „Istorko-litieraturnyj Żurnał“, na str. 82 mówi, że notatka Łęskiego o wojsku litewskim ukazała się w X t. wydawnictwa „Trudy Impierat. russkaho istoriczeskago obszczestwa“, tymczasem niema podobnego wydawnictwa, jest tylko „Sbornik russkago istoricz. obszczestwa“ i tam właśnie w t. CXXVIII dokument powyższy został wydrukowany. Jakkolwiek przytoczone błędy i nieściśłości nie wyczerpują wszystkich braków omawianej książki, to jednak powyższych uwag wystarczy chyba, ażeby odsądzić tę pracę od wszelkiej naukowej wartości.

Janusz Iwaszkiewicz.

Karol Irzykowski. *Czyn i słowo* (Glossy sceptyka) str. 404. Lwów 1913. Księgarnia polska Bernarda Polonieckiego. Warszawa E. Wende i S ka.

Księgarnia polska Polonieckiego wydała zbiór „bluźnierczych“ artykułów p. Irzykowskiego, które w przeciągu kilka lat zjawiały się na szpaltach pism postępowych. Artykuły te nie straciły nic na aktualności, choć nie jeden już ma za sobą dzieściolecie „jubileuszowe“, p. Irzykowski chciał zrobić doświadczenie, o ile rozwinął swoje światopoglądowe założenia.

Dla baczного oka nie ujdzie jednak uwagi charakterystyczna strona metodologii myślowej, autora „Pałuby“. Pozostała ona zupełnie niezmienną od czasów pierwszych wystąpień jego, jako nowelisty oraz krytyka.

Pan Irzykowski nazywa tę swoją cechę sceptycyzmem. Co do mnie zaś, to nazwałbym ją *przekorą* intelektualną. Sceptycy bowiem posiadają wyraźną linię negacyjnych ukochań. W pismach zaś Irzykowskiego zawsze i wszędzie odzwierciedla się djalektyczna zdolność przekory. Nie chodzi w niej zasadniczo o niewiarę w jakąś prawdę, lecz przedewszystkiem o zakwestjonowanie samej wiary. Wiara bowiem jest zbyt prostolinijna dla wyrafinowanej djalektyki Irzykowskiego. Nie spiera się on więc o ostateczną prawdę, o przedmiot lecz o ujęcie, o rozumienie. Poglębia on lub różnicuje poglądy już istniejące, odnajduje luki lub niekonsekwencje w planach, programach czy zamierzeniach pracy społecznej czy literackiej.

Jako rodzaj literacki twórczość Irzykowskiego jest przez to bardzo interesująca. Najwięcej jednak zaciekawia gdy obrabia autorów czy też ideje stojące na poziomie kulturalnych zagadnień chwili obecnej. Wtedy wypowiada Irzykowski całą swą spostrzegawczość dla „Pałub“ idejologicznych oraz psychologiczno-społecznych.

Najciekawsze stronicie „Czynu i Słowa“ należą do... Brzozowskiego. Na tle jego manifestów o czynie i pracy szukał misternie i nieraz z dużym poczuciem słuszności załamania i niedomó-

wień filozoficznych, wytykał tautologję, białad nad intelektualizmem Brzozowskiego. Aforyzmy o „bohaterstwie” zalecają się też spotrzegawczością Irzykowskiego, choć... nie zawsze są słuszne i ujmują tylko negacyjnie problemy twórczości Struga, Żeromskiego, Daniłowskiego.

Wogóle cała książka Irzykowskiego zasługuje na sumienne przeczytanie. Budzi ona wiele płodnych refleksji, budzi myśl. Nie można jej jednak brać za program, ani za stanowisko wobec życia. Jest ona bowiem tylko dziełem *przekory* i jako taka powinna być czytana i rozważana.

Tadeusz Kończyński. *Ostatnia godzina* (Powieść fantastyczna). Str. 348. Warszawa (bez daty). Nakład i druk tow. akc. S. Orgelbranda S-ów. Skład główny w księgarni E. Wende i Spółka.

Kończyński próbował szczęścia na wszystkich polach twórczości piśmienniczej. Dał nam już kilka powieści, kilka komedji, dramat, tragedję, a nawet i w rymowanych szrankach szukał dla siebie chwaly i wawrzynów. Obecnie zdecydował się zdobyć Olimp humoru i napisał dla sceny lekką farsę „Panią Bellę”, oraz poszedł po zdobycze i łupy w dziedzinie marzeń naukowych, by je uplastyczyć w tworze fantastyczno-wizjonerskim, który zyskał tytuł „Ostatniej godziny”.

Powieści tej z punktu widzenia fantastyczności, nie zarzucić nie można. Jest ona od początku do końca imaginacją intelektualną p. Kończyńskiego. Imaginacja ta zakrawa chwilami na symbolikę rozmyślań nad przyszłością ludzkości, ale w ogólnem tonie brak jej nut o napięciu dramatycznym. Raczej słyszymy ciągle poszepty tragiczne, czyny zaś wszystkie dane nam przez Kończyńskiego obracają się w kole bachanalji Kara-Kallo — Neronowych, w biesiadnym zgiełku wyuzdań sadystycznych, w zwierzęcym szale głupiego a okrutnego Gviduna.

W przeciwstawieniu do tego szalonego niszczyciela ludzkości, dał Kończyński typ uczonego astronoma Radona. Jest to jakgdyby anioł w stosunku do kusiciela, czarta Gviduna. Konflikt miłosny o śliczną Noemi służy za tło do symbolicznej walki władcy „Wielkiego miasta” z pokoleniami zamieszkałymi w nizinach. Plemię pracowników chce zgładzić oszalały Gvidun, chce w ręce swojej zawrzeć przyszłe i przeszłe losy ludzkości. Bada astronom więc kiedy słońce wygaśnie i przestanie utrzymywać w równowadze system planetowy, bowiem jeszcze przed tem może on zniweczyć rodzaj ludzki. Przedsięwzięcie to nie udaje się mistrzowi nad mistrze...

Aeroplany kursują, jak dorożki lub omnibusy. Podziemne korytarze, fantastyczne baterje elektrycznych zbiorników, przedziwnych nagromadzeń sily, ogrodów pełnych róż i nagich ciał uzupełniają „fantastyczną powieść” p. Kończyńskiego. Romans Radona z Noemi kończy się przysporzeniem ludzkości Ślicznego potomka, co należy zapisać na plus romansu, który choć miał być fantastyczny skończył się bardzo realnie i po ludzku.

Konstrukcja powieści p. Kończyńskiego jest rozwlekła. Można było znacznie krócej opowiedzieć losy zwarjowanego Gviduna, co runął ze swoim „aeroplanem z wysokości 8000 metrów”. Miłe stronicie książki należą do Radona i jego słodkiej kochanki Noemi.

Wacław Gąsiorowski. *Czarny Generał*. (romans historyczny) str. 272 i 347 tom 2. Warszawa 1912. Nakład i druk tow. akc. S. Orgelbranda S-ów. Skład główny w księgarni E. Wende i Spółka.

Romans historyczny Gąsiorowskiego należy do rzędu tych utworów, które można śmiało polecić szerokim niewybrednym warstwom. Artystycznie nie posiada on żadnej wartości. Ale za to, jako historyczna lektura obznajmia ze starymi dziejami Polski z czasów pruskich oraz z legionami włoskimi.

Fabula oparta jest na biografji generała Jabłonowskiego, który podobno był synem Księżnej Radziwiłłowej. Miała go ona z morgantycznego związku z murzynem—lokajem. Faktem jest, że bardzo się ona opiekowała losami Jabłonowskiego, łożyła na jego wychowanie, zabiegała o bezpieczeństwo i promocje wojskowe. Życie swoje po wielu trudach kończy Jabłonowski w Stanach Zjednoczonych. Umiera na rękach swojego ojca murzyna, który się właśnie tam znalazł.

Całość robi wrażenie fantastycznej bajki, ale czyta się przyjemnie i bez wysiłku. Ludzie w powieści Gąsiorowskiego są prości, nieskomplikowani. Jabłonowskiego otacza gloria bohaterstwa i patryjotyzmu. Język bez sztucznych ornamentacji, czysty i nieskazitelny. Gdyby wyrzucono ze dwie niepotrzebne sceny bachanalji, możnaby powieść tę polecić nawet młodzieży.

Eustachy Czekalski.

◊◊◊◊◊◊◊◊◊◊

PRASA POLSKA.

— Korespondent warszawski „Ziemi Lubelskiej”, kreśląc obraz obecnej akcji bojkotowej w Warszawie i wykazując dodatnio jej strony, ostro krytykuje najgorętszą rzecznikę tego ruchu „Gazetę Poranną 2 grosze”, która przelicytowała inny inne pisma co do tanioci, stała się dziś najpopularniejszym dziennikiem wśród szerokich uboższych mas.

„W tem właśnie kryje się pewne niebezpieczeństwo, „Gazeta Poranna” bowiem nie jest pismem, któreby pod każdym względem dodatnio na masy działało. Przedewszystkiem dla panów redaktorów organu owego — nie istnieją dziś inne zagadnienia społecznego życia prócz kwestji żydowskiej. Całą sprawę narodową, wszystkie jej przejawy albo ignoruje się wogóle, lub też sprowadza do tej pierwszej kwestji. Uważny czytelnik „Gazety” nie znajdzie dziś w niej — poza oczywiście wiadomościami czysto kronikarskiej natury — nic prawie, coby nie było więcej lub mniej związane z kwestją żydowską. Jak nieodpowiednią i politycznie szkodliwą jest jednostronność taka, dodawać chyba nie trzeba.

Pozatem skrajnie ugodowe tendencje kierowników „Gazety” przejawiają się nawet w terminologii przez nią używanej. Łamy tego pisma starannie unikają wyrazu: polski, zastępując go, gdy mowa o sprawie miast słowem: chrześcijański. Trzeba by przypomnieć owym panom, iż nam właściwie i przedewszystkiem chodzi o spolszczenie miast naszych, a nie tylko o ich schrześcianienie. Trzebaby przypomnieć, iż i niemcy są chrześcijanami. A czyż ich nie winniśmy omijać narówni z żydami? Trzebaby wreszcie przypomnieć iż w Królestwie mamy zastęp cały innych jeszcze chrześcijan, z którymi również walczyć wypada. No — ale tego ostatniego tematu nie lubią politycy warszawscy z pod znaku pana Dmowskiego.

Warszawie potrzebne jest tanie popularne pismo, o szczerze narodowych przekonaniach dla przeciwdziałania wypaczaniu politycznych pojęć najszerszych jej mas, które energicznie i bez przeszkody uprawia dzisiaj narodowo-demokratyczna „Gazeta Poranna”.

Należy dodać, że w ocenianiu pewnej kategorii zjawisk politycznych „Gazecie Porannej“ dzielnie sekunduje postępowy „Kurjer Poranny“, również mający szerokie rozpowszechnienie wśród ludności warszawskiej. Tembardziej więc końcowa uwaga korespondenta „Ziemi Lubelskiej“ nie powinna minąć bez echa.

— „Kurjer Krajowy“ nawiązując swe uwagi do niedawnego uczczenia w Paryżu pamięci polaków, poległych za Francję w latach 1796—1813—1871 — 1872, stwierdza z żalem, że gdy dawniej polacy walczyli w imię hasel: wolność, równość, braterstwo, dziś natomiast ulegają wpływowi zgubnym zasady egoizmu narodowego.

„Dziś społeczeństwo polskie nie tylko od nawały rusyfikacyjnej się broni, nie tylko tamę germanizacji kładnie, lecz i walkę zaczepną prowadzi. Taż walka się toczy na całej linii z ukraińcami w Galicji, z litwinami, białorusinami. Sfery wrocie chłopskim ruchom odrodzeniowym, ze względu na rozbieżność interesów klasowych, czy stanowych, sfery te akcję swoją w imię dobra Narodu prowadzą. Lecz jest to walka ze słabszymi—jeśli nie liczebnie, to kulturalnie, lub ekonomicznie. I w zestawieniu z przeszłością, nie tak odległą, jakże przykre wrażenie małością swoją wywiera!

Z pewnością, w waśniach i sporach z ludami, z którymi Naród Polski od wieków wspólną dolą żyje, niema tych cech wiecznych, cech, które kazały francuzom hold należy bohaterom przeszłości, obecnie złożyć. Nie przysporzy to nam laurów, nie uwieńczy imienia polskiego żadną aureolą; za to w sferze spraw tak bardzo przyziemnych, pokolenia młode będą urastały, pozabawione idealów szerszych—wiecznych—ludzkich“.

Niewątpliwie inne nastroje panują w społeczeństwie polskim dziś, niż w epoce romantyzmu. Potępianie jednak narodu polskiego w czambuł jest zupełnie nieuzasadnione. Przedewszystkiem walka z białorusinami istnieje tylko w wyobraźni „Kurjera Krajowego“. Walka z litwinami i ukraińcami istotnie jest faktem, ale wielkie pytanie, kto jest tu stroną zaczepną, a w każdym razie postawę wrogą przybierają tylko pewne grupy polskie, bynajmniej zaś nie te, które uważają siebie za spadkobierców tradycji przekazanych przez bojowników „o naszą i waszą wolność“. I dawniej wszakże nie cały naród polski składał ofiary na ołtarzu szczytnych idealów. Jeżeli zaś mniejsza lub większa garstka polaków walczyła o wolność po całej kuli ziemskiej, czynić to mogła z lekkim sercem, bo wiedziała, że u siebie w domu nie ma wrogów, tylko sprzymierzeńców.

Dziś inne czasy. Nacjonalizm istotnie czyni spustoszenia, lecz nie tylko w społeczeństwie polskim. Przedewszystkiem dominuje on wśród litwinów i ukraińców, a i młody ruch białoruski traci nim coraz bardziej.

Tradycje wolnościowe, niestety, nie znajdują przystępu również do ludów, z którymi naród polski dzielił dotychczas dobrą i złą dolę...

oooooooooooo

NA WIDNOKRĘGU.

Oddawna dzienniki rosyjskie—i te, które krytykują obecny kurs polityki zagranicznej i te, które go aprobują—domagały się od Sazonowa wygłoszenia odpowiedniego exposé w Dumie i wyjaśnienia postawy, jaką gabinet petersburski zajmuje wobec kryzysu wschodniego wogóle i wobec sporu o Albanję i Skutari w szczególności.

Zamiast mowy ministerjalnej mieli przedstawiciele różnych frakcji parę „herbatek“, obecnie

zaś dla poinformowania szerszej opinii ukazał się komunikat urzędowy o rosyjskiej polityce zagranicznej.

Jest to dokument znamienny i z kilku względów godny uwagi. Nosi on widoczne cechy polemiki z temi panslawistycznymi kołami, które urządzają bankiety słowiańskie oraz manifestacje uliczne, z głośniami hasłami antyaustrjackimi.

Polityka rosyjska, według komunikatu, postawiła sobie za zadanie zlokalizowanie wojny oraz „utrzymanie przy zwycięzcach, o ile to możliwe, owoców ich zwycięstw“.

Należało tedy zapobiec interwencji z którejkolwiek obcej strony. Cel ten osiągnęła Rosja przez udział w koncercie europejskim, który powstrzymał wszelkie odosobnione wystąpienia i zachował dla siebie rolę najwyższej instancji dopiero przy likwidacji wojny. Dzięki temu państwa bałkańskie odniosły tryumfy, o jakich nawet nie marzyły. Ale udział Rosji w koncercie nakłada i na nią zobowiązania, od których nie chce się ona uchylać. Dlatego też stoi ona przy uchwałach konferencji londyńskiej i nie może odmówić swej aprobaty dla środków przymusowych, które koncert względem Czarnogórze stosuje.

W kwestji obecnego sporu w komunikacie znajdujemy następujące twierdzenia:

1) Pretensje Czarnogórze do Skutari nie są uzasadnione, gdyż ludność tamtejszą stanowią katolicy albańscy, w mieście zaś jest rezydencja arcybiskupa katolickiego.

2) Nabytek ten byłby pod względem politycznym dla Czarnogórze szkodliwy, gdyż dla zasymilowania obcej ludności nie ma ono dość sił. Ujarzmieni katolicy albańscy stworzyliby podłoże dla obcych wpływów.

3) Król czarnogórski staje pod oskarżeniem, że dąży do celów osobistych, dla których naraża swój naród na bezowocny przelew krwi.

4) Czarnogórze spekuluje na wciągnięcie Rosji i innych mocarstw w wojnę europejską.

W ostatnich dniach w prasie francuskiej i rosyjskiej ukazywały się różne wywiady z dyplomatami rosyjskimi. Po przeczytaniu omawianego komunikatu niema już wątpliwości co do autentyczności tych wynurzeń, gdyż w powyższych czterech punktach zgadzają się one zupełnie z urzędowym dokumentem.

Prócz tego komunikat przynosi sensacyjną rewelację o królu Mikołaju czarnogórskim. Obiecał on nie rozpoczynać wojny z Turcją bez zawiadomienia i aprobaty gabinetu petersburskiego. Obietnicy nie dotrzymał.

Rewelacja ta, zwłaszcza w połączeniu z wyjaśnieniami, udzielonemi przez sekretarza stanu Jagowa komisji parlamentu niemieckiego, obala rozpowszechnioną wersję, jakoby państwa bałkańskie działały na komendę z niektórych stolic europejskich i jakoby tam został ułożony zarówno sojusz jak i plan całej akcji wojennej. Rzecz się miała zgoda inaczej. Już Izwolskij podczas kryzysu aneksyjnego oświadczył w Dumie, że polityka rosyjska dąży do utworzenia związku Bałkańskiego z Turcją włącznie. Zdecydowanym turkofilem był poseł rosyjski nad Bosforem Czaryków, który przed rokiem opuścił swój posterunek. Z wyjaśnień Jagowa dowiadujemy się, że państwa bałkańskie zwracały się początkowo do Turcji z odnośną propozycją, ale nie otrzymały dość stanowczej odpowiedzi. Utworzyły więc koalicję bez niej i przeciw niej. Koalicja ta przysłała do skutku w czerwcu r. z. Atoli do ostaniej chwili panowało w stolicach

bałkańskich wahanie. Sygnał dał król Mikołaj, wypowiadając Turcji na własną rękę wojnę. W swoim czasie uważano to za dowód, że akcją sojuszu bałkańskiego kieruje aljans francusko-rosyjski, gdyż—rozumowano—król czarnogórski nie odważyłby się na ten krok bez zachęty lub przynajmniej przyzwolenia Rosji. Tymczasem, jak się okazuje z komunikatu, zarówno wnioski jak i jego podstawa były błędne. Państwa bałkańskie okazały większą inicjatywę i rozwinęły większą samodzielność niż powszechnie mniemano.

To też pod adresem „młodszych braci“ oraz balamucącej ich nieraz prasy rosyjskiej komunikat poucza, iż obowiązkiem tych braci jest „zachowywać się z szacunkiem do rad, których Rosja nie nadużywa“. Jest to potrzebne zwłaszcza teraz, gdy chodzi o wzajemne pogodzenie się tych narodów. Mowa tu zapewne o zgodnym podziale pokąźnej zdobyczy wojennej i o istniejących rozterkach z tego powodu.

Cały komunikat od początku do końca nacechowany jest wybitną tendencją pokojową. Ostatni jego ustęp oblewa zimną wodą zapęły panslawistyczne i odzywa się ujemnie o „przeciwstawianiu jednej rasy drugiej“. Może być, że jest to pewna aluzja do przemówienia kanclerza niemieckiego, który przeciwieństwo to zaznaczył, niewątpliwie jednak ustęp ten zwraca się przeciw agitacji panslawistycznej i w tym sensie może być uważany za komentarz do ostatnich rozporządzeń, zabraniających tego rodzaju manifestacji.

KRONIKA.

— Zmiana redaktora.

„Gazeta Codzienna“, która w ciągu swego niedługiego istnienia zmieniła już kilkakrotnie kierowników, obecnie otrzymała znów nowego w osobie p. Jana Obsta.

Nazwisko to, znane w kołach naszych starożytników, nie mówi pod względem politycznym. Kierunek więc pisma prawdopodobnie pozostanie ten sam, co dotąd, t. j. w najwyższym stopniu chaotyczny z wyraźną tendencją ugodową.

— Działalność Banku Włościańskiego w gub. wileńskiej.

W zeszłym roku w gub. wileńskiej Bank włościański rozparcelował 12,000 desiatyn ziemi, na którym to obszarze istniało 300 folwarków. Obecnie na te działki bank poszukuje nabywców prawosławnych.

W sezonie letnim roku bieżącego parcelacja ma się odbywać na przestrzeni 20,000 des. Najwięcej pracy bank będzie miał w pow. oszmiańskim, a to wskutek dokonanej niedawno kupna dóbr „Berezyna“ hr. Korwin-Milewskiego. Dobra mają 9,600 des., w tem 5,600 des. najlepszego lasu. Jak zapewniają kierownicy wileńskiej filji banku, las będzie wyrabany tylko na przestrzeni 1,600 des., a więc na obszarze pozostałym ma być prowadzona racjonalna gospodarka leśna. Oprócz tego w pow. oszmiańskim bank ma 4,700 des. nabytych od pp. Kreczyńskiego i Beklemiszewa. Parcelacja zatem w pow. oszmiańskim w roku bieżącym ma się odbyć na przestrzeni 10,300 desiatyn.

W pow. dziśnieńskim na parcelację przeznaczono 3,400 desiatyn z dóbr książąt Lubomirskich, kupionych przez bank w zeszłym roku. W powiatach wileńskim, święciańskim i trockim bank ma względnie obszary niewielkie.

— Nad Świsłoczą.

Pod tym tytułem wyszła jednodniówka, poświęcona życiu i sprawom Mińszczyzny.

Wydawcą jednodniówki jest p. W. Dworzaczek.

— Zakaz odczytów w języku polskim.

Gubernator kijowski zawiadomił zarząd Związku równouprawnienia kobiet polskich, że starania zarządu o zezwolenie na wygłoszenie w języku polskim odczytu „O Słowackim“ przez p. Uziembłę, pozostawiono bez skutku i że na przyszłość wogóle urządzenie przez Związek odczytów w języku polskim dopuszczane nie będzie.

— Nowe pismo.

W Lublinie począł wychodzić nowy tygodnik p. t. „Głos Lubelski“. Kierownikiem pisma jest p. Wł. Rogowski, który czas jakiś przebywał w Wilnie.

Nowe pismo pozostaje pod protektoratem p. R. Dmowskiego.

— Odrzucona interpelacja.

Burzliwe obrady wywołała w komisji interpelacja Koła Polskiego o szkolnictwie prywatnym w Królestwie Polskim.

Referował ją Karaulow. Wskazywał on, iż interpelacja jest uzasadniona i wzywał Dumę, aby szczególnie w obecnym momencie politycznym była względem Polaków sprawiedliwa.

Oponował głośno Puriszkiewicz: uważał on, iż wogóle nie można pozwalać na wykład w języku polskim jakiegokolwiek przedmiotu—oprócz religii. Wszyscy inoródecy dzielą się na dwie grupy: lojalnych i nielojalnych. Do pierwszych należą Niemcy, do drugich Polacy. Niemcy choć nie kochają Rosji, są jednak wierni Dynastji. Polakom żadnych praw dawać nie można.

Odpowiadał na to Jaroński, wskazując, iż interpelacja jest ściśle uzasadniona pod względem prawnym i że w danym razie chodzi o prawa, które już zostały nadane.

Większością prawicy, nacjonalistów i części październików interpelację odrzucono, i p. Karaulow zrzekł się referowania jej in pleno.

— Zjazd kooperatystów w Kijowie.

W połowie sierpnia r. b., w Kijowie odbędzie się zjazd delegatów towarzystw spółdzielczych z państwa rosyjskiego. Będzie to drugi z rzędu ogólnorosyjski zjazd kooperatystów. Pierwszy odbył się w Moskwie przed pięć laty.

Przez ten czas, ruch spółdzielczy uczynił w państwie olbrzymie postępy. Na widownię życia wysunęły się nowe, bardzo aktualne zagadnienia, które mają być tematem rozpraw zjazdu.

Komitet organizacyjny wypracował już program zjazdu. Na posiedzeniach plenarnych rozstrząsane będą kwestje następujące: 1) projekt nowego prawa o kooperatywach, 2) ogólne zasady organizacji stowarzyszeń i okręgowych banków spółdzielczych, 3) opodatkowanie kooperatyw, 4) położenie pracowników w kooperatywach, 5) działalność kulturalno-oświatowa stowarzyszeń spółdzielczych etc.

Na zjeździe zorganizowane będą sekcje, w których omawiane będą sprawy dotyczące się oddzielnych typów kooperatyw. Sekcje takich będzie 4 — spożywcza, kredytowa, rolnicza i rzemieślnicza — wytwórcza.

— Niezadowolenie panslawistów.

Grupa „słowiańskich działaczy postępowych“ w Petersburgu, mająca na czele p. Brianczaninowa, powzięła uchwałę, ostro krytykując ostatni komunikat rządowy o sytuacji na Bałkanach. Końcowy ustęp tej uchwały głosi, że „pomimo uczynionych ustępstw Austrii niebezpieczeństwo wojny ogólnoeuropejskiej nie zostało usunięte, a nawet zwiększyło się, gdyż komunikat rządowy rosyjski w razie wewnętrznego przesilenia w Czarnogórze, daje prawo Austro-Węgrom czynnego wmięszania się do spraw bałkańskich“.

— Strejk powszechny w Belgji.

W Belgji rozpoczął się zapowiedziany oddawna strejk generalny. Połączony ten ruch robotniczy przewyższa co do liczby swych uczestników wszystkie dotychczasowe strejki, które w przemysłowo-fabrycznej Belgji tak często już się powtarzały. Strejk wybuchnął od razu we wszystkich dziewięciu prowincjach królestwa.

Treść numeru.

Stanowisko krajowe a idea narodowa.—L. Abramowicz.

Żywozny ruch.—St. Poraj.

Nad Sekwaną.—W. Kiślańska.

Wywiad z dyrektorem teatru poznańskiego.—bh.

Wielkanoc na Sachalinie.—B. Piłsudski.

Mój sen.—B. Ostrowska.

Przeгляд piśmienniczy.—J. Iwaszkiewicz i E.

Czekalski.

Prasa polska.

Na Widnokregu.

Kronika.

Odcinek: „Romans Wacława Błockiego“. — M. Pawlikowski.

KSIĄŻE JÓZEF PONIATOWSKI.

Dr. SZYMON ASKENAZY. (WYDANIE JUBILEUSZOWE.)

Życiorys księcia Józefa Poniatowskiego pióra Szymona dr. Askenazego, profesora dziejów nowożytnych polskich na Uniwersytecie Lwowskim, członka Krakowskiej Akademii Umiejętności, ofiarujemy obecnie ogółowi polskiemu w **nowym wydaniu jubileuszowym**.

Rzecz ta już w poprzednich dwóch wydaniach, od pierwszej chwili swego ukazania się, od razu zarówno trafiła do serca narodu, jak i zdobyła entuzjastyczne uznanie krytyki fachowej. Świetlana postać jednego z najdroższych nam wodzów, prowadzących naród w trudnej dobie wielkich przełomów dziejowych, w jeden z najmroczniejszych i najmniej zbadanych okresów jego bytu porobiorowego, wymagała zarówno rozległych badań, jak i serdecznej intuicji, któraby oświeciła postać promiennego rycerza wolności i honoru, uwydatniła to, co w niej jest syntezą ducha polskiego, to co w niej streszcza dzieje naszej martyrologji, naszych odkupicielskich porywów i całopałów. Książka prof. Askenazego odpowiedziała obu tym kierunkom i dlatego dziś jest jednym z najcenniejszych klejnotów w skarbnicy umysłowości polskiej, wzmacniającej naszego ducha w dobie ciężkich przejść i nawiązującą nie dawnych tradycji w sercach młodych pokoleń.

Jako wzór opinii i sądów wyszłych o tej książce, przytaczamy tu z jednej strony poważny głos zasłużonego **dziejopisy erudyty**, z drugiej zaś krwią serdeczną i nerwami pisane refleksje **najgłówniejszego z poetów** Młodej Polski:

Aleksander Rembowski. „Pisma“, tom III, Warszawa 1906, str. 817—828 pisze:

„Prof. Askenazy.. przetrząsnął.. archiwa państwowe czy rodzinne w Petersburgu, Warszawie, Jablonie, Krakowie, Krzeszowicach, Wiedniu, Berlinie i Paryżu i wszędzie szukał historycznego światła, nie gardząc najdrobniejszym szczegółem, zastanawiającym nasz umysł, czy oko. Plon też pracy prof. Askenazego, plon, naturalnie, źródłowy, okazał się niezmiernie bogatym, cennym i prawie, rzecz można bez przesady, pełnym. Jakkolwiek bowiem w przyszłości może być wydobyte z ukrycia niejedno źródło i w ten sposób zdobyty nie jeden szczegół z życia księcia Józefa, niemniej jednak na podstawie zdobytego przez prof. Askenazego materiału, sąd historyczoficzny jego o księciu Józefie będzie epokowej solidności, stanie się trwałszym od spiżu — „aere perennius.“ Dzięki skarbowi archiwalnym, publicznym i prywatnym, autor nie potrzebował się uciekać do przypuszczeń, domniemań, a co najważniejsza, do indywidualnych opinii i poglądów, jak to uczynili zbyt często jego poprzednicy, ale przemawiał faktami, które mówiły za siebie, a raczej za księcia Józefa, wymowniej i wierniej, aniżeli najgorętsze uwielbienia, spowite w kwiaty najpiękniejsze retorycznego frazesu.

Do wszystkich epok życia ks. Józefa prof. Askenazy dorzucił wiele cennych i ciekawych szczegółów, a we wszystkich stadkach życiowych swego bohatera umiał się doszukać owych cech znamienych, stwarzających prawy i niezachwiany charakter wodza i obywatela...

Z przepysznego portretu księcia Józefa, jaki nam dał prof. Askenazy, widać jego przymioty niepospolite, czy to jako ministra wojny, czy to naczelnego wodza... Praca prof. Askenazego uwydatniła w równie mistrzowski sposób niezwykłą prawość charakteru księcia Józefa... Portret historyczny księcia Józefa, jaki nam dał prof. Askenazy w swojej pracy, pomimo bogactwa wielu nowych i wielu sprawdzonych szczegółów, nie przeistoczył się w misterną mozaikę, lecz pozostał portretem historycznym w pełnym znaczeniu tego wyrazu. Nie szczegóły zachwycają czytelnika, lecz całą postać, którą autor przedstawił promiennie i prawdziwie, unikając po mistrzowsku jaskrawej i chwalebnej i sztucznego, efektownego nastroju. Jeżeli z Thorwaldsenowskiego posągu księcia przemawia do widza zimna postać rzemiosłowego wodza, to z postaci, którą nam Askenazy odworzył, występuje wódz-obywatel, złączony temi samymi nadziejami i pragnieniami z każdym szeregowcem. Jego postać podnosi w żołnierzach serca, krzepi wiarę i budzi świadomość konieczności poświęcenia się. W końcu wojsko ślepo wierzy, że jest on uosobioną prawość

cią i że nigdy nie pozwoli utonąć honorowi rycerskiemu w targowickiej otchłani. W przyszłości będzie prawdopodobnie odkryte niejedno źródło archiwalne i skutkiem tego monografia księcia Józefa będzie wzbogacona niejednym szczegółem. Wierzę jednak w to mocno, że główne rysy psychiczne księcia Józefa w portrecie historycznym Askenazego utrzymają się na zawsze. Takim, jakim go przedstawił Askenazy, pozostanie w dziejach naszych i nie utonie nigdy w niepamięci, czy niewdzięczności narodowej.

Stanisław Wyspiański: **Wiersze, fragmenty dramatyczne, uwagi**, Kraków 1910, str. 220 do 222, pisze:

„Ukończyłem właśnie czytać książkę Askenazego o księciu Józefie Poniatowskim. Jakże ogromna i tragiczna dola rozwija się w tej książce o wielkim rycerzu. Bez słowa krzywdy dla niego — w zamkniętej piersi tłumiąc ból ducha — dla Polski tylko i na tej tylko Polskiej służbie, wszędzie i zawsze dla Polski honoru i sumienia.

Można się było domyślać, można było zgadywać z portretów jego, z miłości narodu do jego imienia, z legendy jego rycerskiej, i śpiewać o nim, że tajemnice w nim są i skarby w tej duszy wielkie i że, co ze śmiercią nie stygnie.

Ale dopiero po przeczytaniu tej książki wie się o tem, że domysł i przecucie, to nowa dla niego krzywda i wielkiej jego rzeczywistej tragedji przyćmienie. Tę tedy należy poznawać i czytać i znać i dlatego czytać należy dzieło Askenazego.

Potocznie dzieje te księcia są opowiedziane. Szybko i mimo wielu szczegółów zwięzłe i jasno. Że rys niepominięty żaden, a całość ująć łatwo i do końca tehem jednym czytając, nie przyjdzie zaznać znużenia i jest się wszystkich księcia trosk i skąpych radości, tryumfów i rozpacz i wyczekiwań nekających i błysków gieniuszu świadkiem i patrzy się w tę postać wielką z drżeniem i umiłowaniem, zapalem i trwogą przez czas czytania kart ostatnich o dniach kilku pod Lipskiem — by — ostatnie czytając wiersze, — ujrzeć ją olbrzymią, zapadającą w mętną topiel wód wezbranych.

Mówiono i powiedziano już zapewne wiele, pięknie i czule o Poniatowskim księciu i pięknym jego zgonie, ale może nie dosyć powiedziano i nie wyraźnie zadość, zadość, za co ginął i czem żył.

Jaka to w sobie święta miał moc, dla której i przez którą żył i dla której ginąć był gotów i walczył i dla której ginął.

Mówiłyby chyba kto nie umiał, gdyby nie znalazł słów dla księcia Józefa, a duszyby chyba nie miał, gdyby ku niemu ze wzruszeniem nie poglądał, gdy rycinę jego przedstawiającą lub portret gdzie dojrzy, — ale niechże książkę tę Askenazego czyta, to dowie się, jak i jak bardzo człowiek ten kochania godzien i godzien uwielbienia i jak dalece stał straszno samotny. To, co było jego tajemnicą, to sumienie i honor, a jedynie ku temu cenzus znajdował jedynie w sobie... Na rzecz jedną, znamieną zwróciłbym w tej książce uwagę i wdzięczność należy się Askenazemu za to, że tak tę książkę ujął i objął. Od młodości aż po zgon żywot jest cały, a nareszcie raz nie spotykamy się z galerją kochanek i miłostek katalogiem. A nareszcie raz nie dowiadujemy się nigdy, w kim się książę „Pepi“ kocha dziś, w kim kochał się wczoraj, miesiąc temu i t. d. Widocznie interesują te sprawy autora niniejszej książki tyle co interesowały i samego księcia Józefa. Tu i owdzie jest wzmianka, ale właśnie dosyć, by ważność jej zrozumieć. Za to pominięto wszystko, co zgola żadnej uie miało mieć wartości. Jest to zatem książę Józef odkryty i zrozumiany i poezja o księciu rycerzu prawdziwa.

„Książę Józef“ prof. Askenazego, dzieło które spotkało się również z gorącym uznaniem największych powag w dziedzinie dziejoznawstwa nowoczesnego zagranicą, wyszło niedawno w edycji niemieckiej u Perthesa w Gotha, a w r. b. przygotowuje się jego edycja francuska w Paryżu. Obecnie ukazuje się ono w III edycji polskiej, w postaci przejrzonej przez autora, poprawionej i znacznie rozszerzonej zarówno w tekście, jak i w przypisach, znakomicie wzbogaconej w części ilustracyjnej.

Cena za gotówkę Rs. 7—franko. Nakładcą jest p. Karol Rzepecki w Poznaniu, współnik księgarni Zdzisława Rzepeckiego i Ski tamże.

KSIĘGARNIA i SKŁAD NUT

„KULTURA”

Wilno, ulica Ś-to Jerska 7.

Poleca następujące nowości:

Atharvan —Teozofja a wychowanie	—30	Miciński —Książd Faust, powieść	3.—
Bassara —Maciek Bzdura opowiadanie	1.—	Parandowski —Rousseau, szkic literacko- filozoficzny	—60
Caro —Socjologja, tom I.	1.20	Reitman —Kaplica smutku, liryki	1.—
Gomulicki —Dobosz z pod Eylau, obraz dra- matyczny	1.—	Roszyńcówna —W kraju, gdzie rosą nie- bieskie migdały	1.—
W. Jerusalem —Ustęp do filozofji, wyd. II.	1.50	Sachs —Kobieta, opowieść	1.—
Kellner —Żywienie zwiazat gospodarskich	—60	Taylor —Zwalczajmy lichwę towarową	—60
Konówna —Zbiór poezji i bajek	—80		
B. Łoziński —Szkice z hist. Galicji w XIX w.	4.80		

NOWOŚĆ!

„POGRZEB LALKI”

Zdzisława Kleszczyńskiego

Skład główny w księgarni

J. Zawadzkiego—Wilno

Cena 1 rb. 50 kop.



Cena 1 rb. 50 kop.